№ 41. Warszawa, dnia 27 Września (9 Października) 1875 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Z pobytu w Paryżu.

(Dalszy ciąg).

Nie brak. także ludzi zastanawiających się nad przyczynami upadku Francyi. Pomimo wszelkich pomyślności, do jakich kraj ten po ostatniej wojnie doszedł, dłużej w nim przebywając, czuje się, że nie ma w nim tej mocy, która by mu za rzeczywistą siłę służyć mogła. Prawda, że po takich klęskach trudno do sił fizycznych powrócić, ale trudniej może do moralnych. Może też spostrzeżenie pewnego Francuza, które tu przytoczę w dosłownem tłomaczeniu, najsprawiedliwsze będzie:

„Fenomen smutny i przerażający, który podobno dawno u nas nurtuje, i który się niemało przyczynił do ostatnich katastrof, jestto zmniejszenie poważnego uczucia prawdy, coś jakby rodzaj pogardy i zapomnienia dla ścisłości i punktualności w czynach i w myśli. Zastępuje się to przybliżoną tylko miarą tych dwóch wielkich cnót społecznych. We wszystkiem daje się widzieć ten brak dokładności, wszędzie ona jest niby, *nibyto* ścisłość, *nibyto* dokładność. To *nibyto* (l'à peu-près) rządzi i panuje pod wszelkiemi formami i pod wszelkiemi nazwiskami. W nauce *nibyto*, zastąpiło dzielne metody i jędrną obowiązkowość, które umiały kształcić umysły. *Nibyto*, wkradło się, na miejsce zdrowej krytyki w sądach literackich, na miejsce zdrowych tradycji w polityce, na miejsce niezachwianej moralnej prawości w walkach życia codziennego i historycznego. *Nibyto*, zalało naukę historyi fantastycznością pod pozorem prawa tłomaczenia faktów, które się stało ich przekręcaniem i bodaj czy się nie wślizgnęło w sądownictwo i administracyą. —Jestże to skutek lekkości czy lenistwa, czy może ciągłem złudzeniem, które nas olśniło przez długie powodzenie i łatwe pomyślności?

„Przyzwyczailiśmy się iść wszędzie na oślep, myśląc, że za wszystko nam będą starczyć pozory, aż do dnia, w którym nas zbudziły straszne niepowodzenia i klęski, które spadły na naród zdziwiony i rozbrojony. Nie wiem czy wielu z nas zastanowiło się nad tem, że w tej wojnie tak jeszcze nas bliskiej, nic nie ma rzadszego, jak rozkaz dobrze dany i dobrze wykonany. Od początku aż do końca, ścisłości, punktualności nie ma: jak w pomyśle tak w działaniu ciągła niepewność. Wojnę postanowiono, a do ostatniej godziny nikt nie wiedział, czy będzie zaczepna czy odporna. Rejterada jest uznaną za potrzebną, a tu przerywają ją wtedy, kiedyby się mogła łatwo uskutecznić, a rozpoczynają, kiedy niepodobna aby się powiodła. Są chwile, gdzie narzekają na brak amunicyi, a nikt nie wie, że w jednym składzie w Metz jest 3 milijony nabojów. Korpus wojska ma przyjść na wskazane miejsce o dziewiątej rano, a przychodzi o drugiej po południu. Pewien generał wyznaczony jest, do objęcia dowództwa dywizyi kawaleryi, lecz generał szuka jej i nigdzie znaleźć nie może, z bardzo prostej przyczyny, bo dywizya nigdy nie egzystowała. Ten fakt opowiada naoczny świadek Blondeau, dodając, że w 1870 roku w ciągu całej wojny projekta codzień się zmieniały, a czasem po kilka razy na dzień. — Otóż to jest *nibyto* (l'à peu-près) w swojej strasznej naiwności w swojej zabójczej sile! Co gorzej, to *nibyto* nie przestaje dotąd panować. W zgromadzaniu faktów, opowiadań, świadectw, które od teraz stają się źródłami historycznemi jeszcze rozstać się z niem nie można i t. d."

Rzucenie takiej prawdy w oczy narodowi rzeczywiście bardzo zarozumiałemu, jest czynem bardzo obywatelskim. Zwrócenie uwagi na pewne niedostatki społecznej organizacyi choć z początku częstokroć oburza, w końcu przejmuje wdzięcznością.

Naród który narkotykiem zadowolnienia z siebie uśpić się pozwala, musi przechodzić przez straszliwe chwile. Szczęśliwy jeżeli jeszcze w porę wyleczyć się pragnie i potrafi dobrać stosowne dla siebie środki. Szukają ich Francuzi w rozmaitych gałęziach. Sztuka w swoich rozmiarach chciałaby się także do tego przyczynić. Przedewszystkiem zdaje mi się że rzeźbiarstwo przoduje. Doprawdy że porównywając nowożytne rzeźby ze starożytnemi, zdaje się że nowożytne jakieś doskonalsze. Jest w nich tyle uczucia, wyrazu — to prawdziwe kamienie mówiące. W pomysłach i w wykonaniu przewyższają malarstwo. Z tegorocznych szczególniej zalecają się: *Joanna d'Arc* słuchająca głosów niebieskich Alberta Lefeuvre—*Mojżesz uratowany z wód*—gruppa przez *Bargashi*—*Młody Gall* oznajmujący Druidom zazielenienie młodej jemioły. *Wychowanie macierzyńskie* grupa Delaplancha — *Córa mórz* Gajarniego, *Leander* Louis Gregoire; *Przyszłość* czyli Francya wspierająca się na młodej armji. Przytem mnóstwo biustów, małych dzieciaków w rozmaitych postaciach, jedno z nich: *Przymuszona modlitwa* i *Dziecię zmieniające koszulkę wieczorem*—*Dziewczynka z pończoszką w ręku*, wszystko zdaje się że żyje i zapomina się że to marmur.

Rzeźby i malowidła zakupione przez miasto Paryż do miejsc publicznych i kościołów, były osobno wystawione w pałacu sztuk pięknych. Z malowideł: podobał się bardzo *Święty Piotr pokutujący*— przeznaczony do kościoła w Iwry-Rixensa.

Pozwólcie dziateczkom przyjść do mnie Michela, przeznaczony do kaplicy Katechizmowej.

Święty Saturnin Gambarda do kościoła w Gentilly.

Święty Augustyn przerywający zwyczaj barbarzyński, w którym ojcowie, synowie i bracia bili się między sobą aby się zaprawić do wojny.

Święty Augustyn na Soborze Kartagińskim godzący katolików z donatystami. Oba te obrazy mają być wmurowane w boczne ściany arkad w kościele Ś. Ambrożego.

Chrzest Jezusa — Corota, może najlepsze z jego malowideł, których osobna wystawa długo Paryżan zajmowała; wszystkie niby mgłą są pokryte.

Z rzeźb:

Religija, statua do kościoła w Sorbonie, Nauka — Filozofija—Teologija, także do tego kościoła, który był zupełnie ozdób pozbawiony. Największą z nich jest prześliczny pomnik Richelieugo, przy którym świeżo ukończone zostały bardzo piękne freski.

Glorya Victis!—Chwała zwyciężonym—dzieło które otrzymało wielką nagrodę Rzymską—*Meruégo*.

Wieczór grupa z marmuru do Obserwatoryum także otrzymała wielką nagrodę rzymską.

Ta wielka nagroda rzymska, czyli wysłanie kosztem państwa dla dalszego kształcenia się w Rzymie, jest celem współubiegania się wszystkich uczniów, artystów, bądź malarzy, rzeźbiarzy, czy też muzyków. Ci ostatni ciężko na nią pracują. Na zadany temat muszą pisać utwór własnego pomysłu. Zamknięci na sześć tygodni w lożach, jeden z drugim nie mogą mieć żadnej komunikacyi. Dyrektor konserwatoryum *Ambroise Thomas* z innymi artystami stanowiącymi *jury* osądzają ich wartość i wyrokują o nagrodzie.

Sądy te najpierwej odbywają się przy drzwiach zamkniętych, a potem oddają się pod sąd złożony z członków Konserwatoryum i Instytutu. Tego roku z sześciu kantat poddanych pod sąd, Kantata Wormsera uznana była za najlepszą i otrzymała wielką nagrodę.

Z egzaminu dorocznego w Konserwatoryum z klasy fortepianowej, mężczyzna żaden nie dostał pierwszej nagrody, i dwie panny Taravant i Pottier ją otrzymały. Oprócz tego wdowa Erard dla zachęty gry na fortepianie przeznaczyła dwa piękne fortepiany ze swojej fabryki, jeden dla klasy męzkiej, drugi dla żeńskiej. W niedostatku mężczyzn oba fortepiany dostały się pannom Taravant i Pottier.

Organy jest to instrument, który w jednym Paryżu tylko się najlepiej fabrykuje. Fabryka Cavaillé-Coll nie ma równej na świecie. Ostatniem dziełem tej fabryki na teraz, jest organ dla pałacu przemysłowego w Amsterdamie, przy którym mają się odbywać koncerta wielkich mistrzów: Hendla, Bacha, Haydna. Takiej sali z organami koncertowemi Paryż nie posiada; koncerta religijne odbywają się albo w Cyrku Zimowym, albo w sali Herza ale bez organów, choć taki mistrz jak Cavaillé-Coll robi je dla obcych krajów. Holendrzy oburzali się że ten instrument robi cudzoziemiec a nie Holender, ale musieli się uspokoić kiedy komisya której poruczono wynalezienie najdoskonalszego fabrykanta, odpowiedziała iż zrobiła wszelkie poszukiwania w tym celu i dostała odpowiedź od *Gevarta* dyrektora konserwatoryum w Bruksellі, od *Mailly* organisty i profesora w tymże konserwatoryum, od J. *Lemmers* najsławniejszego organisty w Europie, profesora organów w Londynie i Bruksellі, od *Besta*, najlepszego organisty w Anglji i od wielu innych, że lepszego fabrykanta organów nie ma. Anglik *Best* powiada, że w Europie Cavaillé-Coll jest najlepszym fabrykantem organów, a *Lemers* dodaje, że Cavaillé-Coll nie ma rywala poważnego co do swoich instrumentów, i że wszystkie narody muszą go naśladować w jego cudownych pomysłach.

Drugim sławnym fabrykantem organów jest Merklin.

Rada municypalna miasta Paryża, na wniosek Herolda, syna autora Zampy, zawotowała sumę 10,000 franków, na premia Zachęty do sztuki muzycznej. W budżecie premiów sztuk pięknych miasta Paryża, muzyka dotąd nie figurowała. Malarstwo, rzeźba, rytownictwo medali i rytowanie na stali, miało przeznaczoną sumę 250,000 franków.

Muzyka, która ma tylu adeptów, która tylu cudzoziemców do Paryża sprowadza, była wyłączona z programu. Ta niesprawiedliwość teraz jest naprawioną; 9,000 franków przeznaczono na rozmaite nagrody o które konkursować można, a 1000 franków zostawiono na koszta egzaminu młodych panien chcących być profesorkami muzyki. Jednak zawsze jest mniej opieki nad muzyką, bo i teraz nawet, z zapisu wdowy Leprince co rok 3000 franków rozdaje się tym, którzy odebrali wielką nagrodę rzymską. Otóż rozdano je za malarstwo, rytownictwo, rzeźbę, architekturę a o muzyce zapomniano.

Najwyższym wyrazem muzyki, jest muzyka religijna i opera. Francya poniosła wielką stratę w osobie Bizeta, który ślicznemi operami, mało jeszcze znanemi, ją obdarzył. *Carmen* jest to utwór taki świeży, tak pełen życia i zupełnie samoistny, że zapewne na wszystkich scenach prędko będzie przedstawiany. Tu go dają w operze komicznej, która ma daleko piękniejszy repertuar niż opera Wielka ciągle jedno i to samo powtarzająca. Panna Reszke w Hamlecie i Wilhelmie Telu występując, w ogóle bardzo dobrze jest przyjęta, choć szczegółowa krytyka, chce ją zaliczyć do miernych śpiewaczek. Z początku zawsze trudno wszystkie głosy sobie zjednać. Sława Patti po sześciu latach śpiewania ledwo się ustaliła, a Nilsson lat cztery śpiewała w Teatrze Lirycznym póty znawców zachwycając, póki do wielkiej opery zaproszenia nie dostała, a teraz śpiew jej zachwyca Londyn i wszystkie stolice.

Piękne jej znalezienie się przez przysłanie tysiąca franków, na pierwszy odgłos o powodzi na południu, jeszcze więcej ustaliło życzliwość dla niej i żal że nie śpiewa w Paryżu.

Pannie Reszke wstęp do wielkiej opery był ułatwiony, bo pierwej na włoskiej niż na francuzkiej scenie dała się słyszeć. Można to uważać za bardzo szczęśliwe w jej zawodzie, ale powinna więcej zważać na zdania poważnych znawców niż na głosy tych którzy dziwnie czułemi dla niej się zrobili, jak się dowiedzieli że to jest artystka milijonowa jak tu ciągle powtarzają.

Wiadomo że tak rodzice jak i bracia panny Reszke są śpiewakami: idą zatem widocznie w ślady rodziny Patti, których było czternaście rodzeństwa a wszyscy grać i śpiewać się uczyli, jedna z nich Adelina cały świat głosem swoim zachwyca a Carlotta budzi zapał w koncertach.

Halanzier dyrektor tutejszej opery Wielkiej, bardzo sobie życzył aby Verdi sam wystawił swoją Operę *Aïda* na tej scenie.

Verdi tak mu na to wezwanie odpisał.

Panie Halanzier.

Dziękuję panu za sposób bardzo grzeczny jakiego użyłeś aby wejść w stosunki ze mną. Szczególniej pochlebia mi żeś *Aidę* uznał za godną opery. Ale bardzo nie dokładnie znam skład obecny twojej opery, a potem, pozwól mi wyznać, że ile razy miałem do czynienia z Wielkim paryzkim teatrem, bynajmniej z tego zadowolony nie byłem, tak że w tej chwili wcale tego probować nie myślę. Może kiedyś, jeżeli zawsze jednakowo dla mnie będziesz usposobiony zmienię moje postanowienie, ale teraz nie mam odwagi narażać się na niesnaski panujące na tej scenie, jakich smutną i przykrą pamięć przechowałem.

Wybacz jeżelim zanadto otwarcie wyraził ci moje myśli, ale chciałem odrazu powiedzieć wszystko otwarcie, aby być wzajemnie do ciebie z zupełnem zaufaniem. Osobiście nie przeszkadza to mieć z mojej strony dla pana uczucie wdzięczności za pełne grzeczności wyrażenia listu, jakim mnie zaszczycić raczyłeś.

Zechciej panie dyrektorze przyjąć wyrazy szacunku.

Verdi.

List ten bardzo zrobił przykre wrażenie na Paryżanach, którzy się nie domyślali, że na ich Operze Wielkiej, tem wypieszczonem tegorocznem dziecięciu, panują takie niesnaski i przykrości które takich mistrzów jak Verdi od niej odstręczają.

Co do utworów dramatycznych, to sztuki polskie oryginalne, bez porównania są lepsze od francuzkich i daj Boże aby się na tem stanowisku utrzymały i doskonaliły. Tu zawsze i wszędzie za główne tło jest wzięta niewiara małżeńska, temat dla tutejszych autorów niewyczerpany.

A jednak w rodzinach francuzkich, są matki oddane dzieciom bezwarunkowo, są ojcowie czujący całą ważność obowiązków rodzicielskich, są córki utrzymujące pracą swoich rodziców i najuczciwsze życie wiodące, są synowie pracujący dla rodzin i nie wstydzący się ubogich i często nie uczonych rodziców, ale owszem otaczający ich głębokim szacunkiem. Te wszystkie obrazy rzadko na siebie zwracają uwagę, zawsze jedno i to samo, przeniewierstwo, rozpacz pokutujących heroin, niecne zachcianki zepsutej młodzieży i tym podobne inne zdrożności niegodne popisów scenicznych. Dla tego też jak się zobaczy na afiszu Moliera—Racina, Cornella, każdy biegnie odświeżyć się w tym dzielnym sposobie karcenia i wyśmiewania wad społecznych. Czasem aż żal że wyborne niektóre aktorki biorą na siebie tak wstrętne i szkaradne role. Naprzykład sztuka *Fanny Lear* w której gra tytułową rolę pani Pasca, jest to obraz dziwnego ostatecznego zepsucia.

A Frou-Frou jeszcze i teraz na afiszach króluje, a ledwo kiedy niekiedy zdarzy się jakaś krotochwila, na której wyśmiać się bez zgorszenia można.

Takie komedye jak: Epidemija, Pracowici Próżniacy, jak komedye Fredry ojca: Geldhab, Śluby Panieńskie, nie wiele mają sobie odpowiednich — przynajmniej nie często je grają. Bo i nasze komedye żartobliwe na uczciwszem polu są zbierane i dla tego zawsze swą świeżość przechowują. Któż się nie uśmieje z Doktora Medycyny, z Dam i Huzarów, z Ciotuni, z Pierwszej Lepszej, z Posażnej Jedynaczki, z Okrężnego, z Narzeczonych, że inne pominę, chociaż w nich przecie skandal nie króluje? Jakżeby było dobrze żeby się autorowie nasi na tej drodze utrzymali zawsze, żeby o scenie naszej można było mówić to, co poeta nasz o piosenkach naszych ludowych powiedział: że są czerstwe, zdrowe, a czyste jak kryniczne wody.

A i powieści francuzkie nie często się rozmijają ze swoją starą tradycyą. Jedna nowa książka zwróciła moją uwagę tem, że w niej miała być tłomaczona komedya Fredry „*Zemsta o mur graniczny*“, a jest w niej tylko mały wyjątek z tej komedyi, która zanadto ma miejscową barwę aby się dała dobrze przetłomaczyć i obcym podobać mogła. Daleko byłaby już lepszą komedya Damy i Huzary która wszędzie wszystkich rozśmieszyć może, bo wszędzie są starzy kawalerowie, starzy wojacy i dziwaczne kobiety, a nawet w ten sposób dziwaczne i śmieszne jak w niej przedstawione. Tym autorem jest pan Léger a książką o której mówię są „Studya Słowiańskie“. Tytuł za śmiały, bo to nie są studya ale spostrzeżenia nad Słowiańszczyzną z wagonu kolei żelaznej, nic nie mówiące o Słowiańszczyźnie z nad Elby i Odry, mało o południowej, trochę o Czechach a najwięcej o Słowiańszczyźnie Wschodniej. Jest to więc utwór należący do szkoły *de l'à peu pres* czyli niby naukowy.

Ładna jest książka „*Wielcy dobroczyńcy Ludzko-*

ści" Adolfa Huard. Obeznanie się z tymi dobroczyńcami, każdemu przyjemność sprawi.

Tłomaczona z holenderskiego powieść Major Frans bardzo miłe wrażenie robi.

(*d. n.*)

ŚWIAT SERDECZNY

POWIEŚĆ

przez

Waleryą Marrené (Morzkowską).

(Dalszy ciąg).

— Czy na długo przyjechałeś do nas Feliksie, spytała niespokojnie matka, chcąc zmienić rozmowę.

— Ja mamo, chciałbym być tutaj jak najdłużej, ale praca... obowiązki... chorzy. Plątał się wyraźnie przy tych słowach, które wywołały gorzki uśmiech na usta ojca.

— Daj mu pokój Maryniu, wyrzekł powstając, zostaw mu swobodę, nie zmuszaj do kłamstwa, wiesz dobrze jak mu ciasno i nudno w naszym dworku.

Odszedł wspierając się na lasce, jakby przez tę krótką chwilę przybyło mu lat, i skierował się po za gospodarski dziedziniec na pole gdzie widać było pługi orzące skibę.

Po jego odejściu Feliks poprawił się na ławce z widocznie wracającą swobodą, ciężyła mu sama obecność ojca i milcząca nieraz nagana jego postawy.

— Ojciec jak widzę rozgniewany na mnie, wyrzekł zwracając się do matki, która dotąd zamyślona słuchała rozmowy.

— Nie Feliksie, o nie, zawołała, tylko...

Nie dał jej dokończyć, czuł dobrze iż matka po swojemu chciała parafrazować zdania męża i powtórzyć mu też same kazanie, złagodzone tylko, dla tego też przerwał jej z żywością.

— To nie moja wina mamo, że ojciec nie rozumie wcale potrzeb obecnej chwili, ani dążności dzisiejszych, świat idzie naprzód to trudno, nikt go zatrzymać nie zdoła.

— Nie dziw się ojcu moje dziecko, odparła Złocicowa podbita nieznacznie argumentem syna, przechylając się na jego stronę. Boleśnie mu że ten dworek dźwignięty jego pracą, drzewa szczepione własną ręką, miejsca gdzieśmy wiek nasz przeżyli, gdzie ty urodziłeś się i wzrosłeś, po naszej śmierci przejdą w obce ręce, lub pójdą na poniewierkę.

— Ale cóż jam temu winien droga mamo, czyż mam być poświęcony na stróża tych miejsc, które przyznaję to że dla mnie nie mają żadnego uroku. Czyż to ma stanąć mi na wspak powołaniu, i zwichnąć przyszłość, a wreszcie ściągać gniew i niezadowolenie ojca.

Kobieta westchnęła cicho.

— Nikt cię poświęcać nie myśli, odparła zwolna, zostawiliśmy ci wolny wybór powołania i miejsca pobytu, tylko... gdybyś nas kochał Feliksie byłbyś wybrał inaczej.

Poruszył się niecierpliwie, czując w duchu iż miała słuszność a nie mogąc tego przyznać. W obecnej chwili potrzebował pomocy rodziców, więc nie chciał zrażać matki, na której wpływ głównie rachował, przecież gniewało go to iż nie przekonał ją w zupełności.

— Ależ mamo cóż miałem robić.

— Ojciec powtórzył ci to nieraz Feliksie, tutaj nie zbrakłoby ci chorych do leczenia, mógłbyś sobie zdobyć sławę, majątek i coś więcej jeszcze, dobre imię i wdzięczność ludzką.

— Sławę w Sulejowie, powtórzył z pogardliwym uśmiechem, matko są to rzeczy których nie rozumiesz, lepiej więc nie mówmy o nich.

Milczała zrażona tonem wyższości, jaki względem niej przybierał.

— Zdaje mi się szepnęła, że cię rozumiem aż nadto Feliksie.

— Mamo, zawołał, przemawiasz do mnie zupełnie jak ojciec, widzę że ty także sądzisz iż was nie kocham dla tego iż nie pozostałem tutaj.

— Mniejsza o to co ja sądzę, odparła po chwili, podnosząc na niego oczy smutne choć promienne miłością, ja chcę tylko żebyś ty był szczęśliwy jak imię które ci nadałam, iżby ci stanowiło dobrą wróżbę w życiu.

— Zaręczam ci mamo, że ja nie bez walki i ofiary wytknąłem sobie przyszłość, mówił syn starając się za pomocą wielkich słów odzyskać stracone stanowisko w jej przekonaniu: ale życie nie jest sielanką, nie jest wcale podobne do tego co wy sobie z ojcem wyobrażacie pod tą cichą słomianą strzechą. A ja, ja muszę mieć je w całej pełni, i dla tego muszę osiągnąć jedyną społeczną dźwignię, muszę być bogatym koniecznie.

I gdy to powtarzał płonęły mu jasne lica, wzrok się zapalał, jednak nie była to wcale potęga silnego ducha, tylko prosta żądza użycia, on z pewnością zdolnym był więcej pragnąć niż zdobyć, brakło wyraźnie myślom jego polotu: uczuciom mocy, a woli hartu. Przytem wymówione słowa znamionowały daleko więcej: zachciankę rozpieszczonego dziecka, niż nieugięty kierunek człowieka. Był to zwyczajny okaz pewnej frakcyi dzisiejszego pokolenia, miał żądze olbrzyma a siły karła.

Jakim sposobem pomiędzy dwojgiem zacnych serc, wśród atmosfery miłości i trzeźwych poglądów, dziecię wyrosło na takiego człowieka? Jakim sposobem puklerz pojęć wyniesionych z rodzicielskiego domu nie obronił go od codziennych pokus życia, a świat wyplenił wspomnienie ojcowskich nauk i matczynych przykładów? Była to jedna z tych zagadek, jakie los zbyt często stawia ludziom. Feliks, była to natura miękka jak wosk, gotowa przyjąć każden stempel i świat powszedni, świat powierzchowny, a raczej męty i szumowiny jego wycisnęły na nim piętno swoje. Sądził się samoistnym i energicznym, a był tylko nikczemnym. Czy jednak nie było dla niego ratunku lub uleczenia? Czy wypowiadał istotne przekonania, czy też szedł tylko za panującym prądem? Pytania tego matka nie postawiła, a on sam nie byłby umiał na nie odpowiedzieć.

— Bo widzisz mamo, mówił dalej, człowiek dziś nic nie znaczy bez pieniędzy; talent, zasługa, genijusz nawet ażeby zyskać uznanie musi mieć złotą oprawę.

Matka mogła mu odpowiedzieć że fakt ten nie był wcale nowością, że począwszy od biblijnych czasów, plebs skłonnym był zawsze bić pokłony dla złotego cielca i mierzyć wartość indywiduów powodzeniem lub zyskiem: ale nie uczyniła tego, przeciwnie lękając się z góry potępić syna, pragnęła go lepiej zrozumieć i milczała czekając co dalej powie.

— Więc ja mamo postanowiłem zdobyć sobie bogactwo i przyszłość za jego pomocą.

— I jakże to zdołasz uczynić? zapytała z wzrastającym niepokojem.

— Jak, powtórzył syn, nie rozumiejąc tego odcienia, patrz mamo czy wszystko co mnie otacza nie jest piękne, wytworne? Nie mając rzeczy samej muszę mieć przynajmniej pozory, ale tak dłużej trwać nie może.

— Więc musiałeś zapracować na te pozory.

— Nie, szepnął Feliks, nie zapracowałem nic dotąd, nic wcale.

Matka podniosła na niego pytające oczy.

— Są inni szczęśliwi, mówił dalej młody człowiek, przyszli na świat otoczeni dostatkiem, jedyną ich pracą jest żyć i używać, wiem dobrze mamo że ja się do nich nie zaliczam.

— W głosie jego była pewna wymówka; jakby miał żal do rodziców że nie postawili go w warunkach o jakich mówił.

— Ojciec, ciągnął Feliks zachęcony cierpliwością z jaką go słuchano, ojciec nigdy nie rozumiał życia, zakopał się tutaj w tym dworku na dziesięciu włókach ziemi chociaż mógł zrobić świetniejszą karyerę, sam mieć więcej i mnie też coś udzielić. Ot po prostu zdziwaczał.

— Synu, zawołała Złocicowa, sądzisz twojego ojca.

— Przecież wszyscy to wiedzą, a ja dzisiaj pokutuję.

— Ojciec żył według swojej myśli, własną pracą zdobył chleb dla nas, naukę dla ciebie, a ty śmiesz jeszcze narzekać.

— I cóż mi po tej nauce! zawołał niecierpliwie, dotąd nie wiele z niej mam pożytku.

— Wszakże sam chciałeś być doktorem.

— Chciałem mamo, chciałem, miałem piękne złudzenia, nic więcej. Karyera to nadto poszukiwana, przyszedłem za późno, miejsca zajęte, doktorem dobrze było zostać lat temu trzydzieści, a dzisiaj na tym chlebie z trudnością wyżyć można. Ja myślę teraz o czem innem.

— O czemże?

— Nie zgadujesz mamo.

— Nie, zkądże bym mogła odgadnąć, dawno bardzo nie widziałam cię, nie znam twoich myśli i zamiarów.

— A przecież to rzecz tak prosta, wszyscy w mojem położeniu to robią.

— Ja nic nie wiem o wszystkich, wyrzekła z wzrastającym smutkiem.

— Prawda, zapominam zawsze, że tu jesteśmy po za granicami świata.

— Mów więc otwarcie Feliksie, widzisz że cię odgadnąć nie potrafię.

— Moja mamo, po prostu myślę się ożenić.

Jakkolwiek cała ta rozmowa rozwiewała w straszliwy sposób macierzyńskie złudzenia, tego jednak rezultatu nie spodziewała się Złocicowa.

— Myślisz się ożenić, powtórzyła, mimowolnie składając ręce.

— Tak mamo, cóż w tem tak bardzo strasznego?

— Feliksie, ty chyba nie mówisz na seryo.

— I owszem mamo, zupełnie na seryo, ba! żebym był bogaty, to co innego.

— Ale z kimże chcesz się żenić.

— Rzeczy tak jeszcze daleko nie zaszły, mówił dalej lekkim tonem, uznałem dopiero że ta konieczność istnieje. Muszę być jednak ostrożnym, bo tu najłatwiej się oszukać. Znam wprawdzie jedną pannę i gdybym tylko wiedział na pewno cyfrę posagową nie potrzebowałbym się długo namyślać. Ojciec bardzo bogaty ale skąpy, gotów by mnie karmić nadziejami, w takim razie pięknie bym się wybrał. Dla tego też się waham— ociągam — trochę nawet z tej przyczyny wyjechałem z Warszawy i byłem pod Częstochową u młodej wdowy, ale tam nie ma co robić. Dowiedziałem się jednak rzeczy która utwierdziła moje pierwsze zamysły. Ojciec mojej panny Eligji ma bezdzietnego stryja — majętny, mieszka podobno

ztąd nie daleko, gdybym mógł przewidzieć jego zamiary, byłoby to dla mnie bardzo ważne. Trzymał on do chrztu Eligiją—a zatem...

Młody doktór ufając w nieograniczoną miłość matki, był z góry pewien jej pobłażania, nie zadawał więc sobie pracy udawać uczuć których nie miał. Zresztą zamiary jego w pewnym świecie nie miały nic rażącego, dla tego też kiedy skończywszy mówić spojrzał na matkę, ujrzał z wielkiem podziwieniem w jej oczach łzy zgrozy i oburzenia.

— Mamo, zawołał, cóż ja powiedziałem tak strasznego?

— Nic — nic! odparła urywanym głosem kobieta, zdaje mi się że to nie mój syn przemawia.

— Ależ mamo, tak wszyscy robią, tak wszyscy myślą, nie żyjemy już więcej jak Arkadyjscy pasterze.

— Wszyscy mogą tak mówić i robić, tylko nie mój syn, nie ty Feliksie.

Ale ów syn nie zrozumiał tego ostatniego odwołania się do jego serca, do wspomnienia dni minionych, do świętości rodzinnych. Szatan więc który go opętał odezwał się znowu:

— W takim razie, zawołał, trzeba było dać mi majątek, a nie myślałbym z pewnością o żadnem ożenieniu, które ostatecznie jest wielkiem szaleństwem. Przecież nie poświęcam się na nie z przyjemności ale z musu, bo cóż mam robić?

Pytanie to było naiwne i bezwstydne.

— Nie rozumiem cię, szepnęła matka.

— Tak jest, cóż mam robić, jeśli nie chcesz mamo żebym się żenił, to daj mi pieniędzy na umeblowanie pięknego mieszkania, coby zwabiło pacyentów: daj mi na ładne suknie, na eleganckie życie, bo nie jestem stworzony do mieszkania na poddaszu, do ubierania się u przedmieściowego krawca—a przedewszystkiem zapłać moje długi.

— Długi, powtórzyła z przerażeniem Złocicowa, jakim sposobem mogłeś je zaciągnąć!

— Ależ mamo czy sądzisz, że te marne trzy tysiące rocznie które mi ojciec dawał, mogło mi wystarczyć na utrzymanie?

— Feliksie, przecież raz i drugi na twoje żądanie ojciec dodał ci po tysiącu złotych.

— Kropla w morze, kochana mamo: przyznaję się nie jestem anachoretą ani filozofem, lubię być do ludzi podobny, ojciec dawał wiele mógł i bardzo mu za to byłem wdzięczny, tylko to dla mnie było za mało.

— I cóż uczynisz teraz, mówiła kobieta coraz bardziej przerażona lekkim tonem syna.

— Powiedziałem ci to mamo że muszę się ożenić.

— Ożenić się dla pieniędzy, li tylko dla pieniędzy, sprzedać się Feliksie? To okropne!

— Przecież taki ładny chłopiec jak ja, popłacać powinien, odparł syn, powstając jak gdyby chciał matce pokazać się w całym blasku: bądź co bądź od trzech kroć się nie ożenię.

Matka załamała ręce, on nie zrozumiał jej nawet, słowa jej nie miały na niego najmniejszego wpływu, szedł dalej torem swoich myśli.

— Feliksie! zawołała, chwytając jego ręce chcąc koniecznie być usłyszaną, to co chcesz uczynić jest nieuczciwe!

— A to dla czego?

— Kobieta z którą się ożenisz, kochać cię może, rachować na twoje serce.

— Ah! mamo, panny nie są wcale tak sentymentalne jak sądzisz. Może tak było kiedyś, za twoich czasów, teraz one także doskonale obliczają szanse przyszłości i w małżeństwie także widzą interes.

— Masz słuszność szepnęła, opadając na ławkę, nie mogę cię zrozumieć, świat o którym mówisz nie jest moim światem.

— A widzisz mamo, powiedziałem ci to z góry, już ja wiem jak mam sterować swoją łodzią.

— Wszystko to jest okropne Feliksie.

— Tak ci się zdaje mamo, ale w gruncie ten świat jakikolwiek jest, ma swoje powaby a jeszcze kiedy się ma majątek.

— Zapominasz że większość nie ma go, mieć nie może, a przecież słońce równo świeci, i szczęście może być wszystkich udziałem.

— Słyszałem nieraz te piękne frazesa, nieszczęściem mamo nikt im nie wierzy, nawet ci co je głoszą, co do mnie do owej większości należeć nie myślę.

— Sądzę mój synu, wyrzekła ze smutną powagą matka, iż rodziców twoich o fałsz obwiniać nie możesz, bądź co bądź zasady nasze były w zgodzie z życiem.

Słowa te przywiodły do opamiętania Feliksa, był on więcej powierzchownie zepsutym niż złym z gruntu, winy jego pochodziły z bezmyślności raczej niż z przekonania. Powtarzał z rodzajem dobrej wiary ogólniki mające kurs w pewnem społecznem kółku, biorąc je za normę pojęć powszechnych, nie wchodząc zbytecznie w ich sprawiedliwość, racyę istnienia ani w to czy one rzeczywiście odpowiadały istotnym potrzebom ludzkim.

— Oh! mamo, zawołał z prawdziwą skruchą, ty i ojciec stanowicie wyjątek, i możecie nim zostać tutaj, w tym zapadłym zakącie.

Kobieta uśmiechnęła się lekko, tu lub tam świat człowieka zamyka nie horyzont wzroku ale horyzont myśli: syn nie zdawał się domyślać tego prostego pewnika, a ona czuła iż tłomaczyłaby mu to daremnie, więc w milczeniu patrzała na piękne rysy jedynaka, które coraz bardziej powlekały się barwą powszedności. Świat wewnętrzny występował widomie w wyrazie tej twarzy, kształtował ją na obraz i podobieństwo swoje zacierając to czem była w dniach dzieciństwa. Rozmowa ta jednak w której młody doktór odkrył głąb swoich myśli, nie doprowadziła go dotąd, wcale do pożądanego celu. Trafił na trudności której powinien się był spodziewać a która przecież wcale go nie zastanowiła dotąd. Za zwyczaj matki, skwapliwie popierają myśl ożenienia w synach i nie mają nic przeciw zabezpieczeniu warunków materyalnego bytu przyszłego stadła. Pod tym względem jak pod wielu innemi, Złocicowie rzeczywiście stanowili wyjątek.

Bądź jak bądź stracił dużo czasu i dyplomacyi na oswojeniu matki z rzeczą, która jak sądził, powinna była, aprobowaną być z góry, a teraz trudniej mu było przystąpić do głównego powodu swego przybycia. Rzeczywiście jak się łatwo domyśleć z rozmowy powyższej, pan Adam miał słuszność, powód ten istniał i nawet był naglącym. Feliks potrzebował koniecznie dla ziszczenia swoich planów, uspokoić choćby na czas jakiś wierzycieli i w tym względzie rachował na rodziców. Rozmyślał więc teraz jakimby sposobem sprawę zagaić, chociaż milcząca i smutna postawa Złocicowej nie zachęcała go do dalszej rozmowy: jednak musiał przed powrotem ojca zyskać sobie w niej sprzymierzeńca.

— Przykro mi bardzo mamo, wyrzekł znowu wracając do przedmiotu który ich wprzódy zajmował, przykro mi, że moje zamiary przyszłości, nie zyskały twojej zachęty.

— Zdaje mi się Feliksie, żeś nie mógł na nią rachować, zamiary twoje są wprost przeciwne naszym zasadom.

— Ależ mamo ja od tych zamiarów odstąpić nie mogę.

— My też nie mamy prawa narzucać ci naszej woli.

— To nie dość mamo, ja rachowałem na pomoc rodziców.

— Na pomoc naszą, a to jakim sposobem?

Feliks zawahał się chwilę, zdawało mu się iż matka powinna była go zrozumieć, przecież widząc że tak nie jest, wyrzekł znowu.

— Konkury do bogatej panny kosztują...

Kobieta milczała.

— Kosztują, powtórzył, a ja i tak mam długi.

— Czy sądzisz odparła smutnie, widząc że uparcie czeka odpowiedzi, iż jesteśmy w stanie je zapłacić? Wychowanie twoje wyczerpało wszystkie nasze zasoby, wiesz dobrze że nie jesteśmy bogaci.

— Przecież mamo ojciec mógłby pożyczyć.

— Ojciec nie pożyczał nigdy. Czemuż nie poszedłeś za jego przykładem?

— Jednakże w podobnych razach zawsze rodzice starają się przyjść w pomoc dzieciom.

Złocicowa wstrząsnęła głową.

— Moje dziecko, wyrzekła, nie mieliśmy nigdy zwyczaju zważać na to co robią inni, szliśmy zawsze naszą własną drogą.

— Więc ja niczego spodziewać się nie mogę? zapytał z widocznem niezadowoleniem, i mama nie chce nawet poprzeć u ojca mojej sprawy?

— Wiem że to byłoby bezskutecznie.

— To być nie może, ojciec przynajmniej powinien zrozumieć że mam słuszność za sobą, że nie żądam nic więcej nad to, do czego każden syn ma prawo.

— Prawo? Feliksie!

— Tak jest, prawo. Wszak nie daliście mi majątku, więc cóż dziwnego że chcąc osiągnąć przez małżeństwo to czego mi niedostaje, odwołuję się do pomocy rodziców.

(d. c. n.)

CZŁONEK KOMITETU ZABAW,

LISTY Z TANNEBURGA

przez

Spielhagena.

(Ciąg dalszy).

Tanneburg, 3 lipca.

List twój z 1-go otrzymałem i dziękuję ci serdecznie za wyrażone w nim przyjazne uczucia. Troszczysz się o mnie, niepokoisz moją tęsknotą, ganisz pociąg do samotności; wyrzucasz pogardę ludzi przypominając słowa wielkiego mistrza, który w każdym z ludzi każe widzieć swego bliźniego. Wierzę że masz racyę kochany przyjacielu, i przypadek a raczej demon jakiś złośliwy sprawił, iż prędzej niż się spodziewasz pójdę za radą twoją.

Jest to dziwna przygoda, którą ci ze wszelkiemi szczegółami opowiem.

Dzień w którym pisałem do ciebie, a trzeci mego tu pobytu, nie odróżnił się niczem od poprzednich. Z rana koncert gęsi na dole we wsi, i moich sąsiadów muzykalnych na górze w zamku; w południe nudny obiad w przepełnionej sali; po obiedzie gra fantowa, którą się towarzystwo z przyczyny niepogody zabawiało. Młoda panna o błękitnych oczach, którą wczoraj pozbawiłem kontredansa, przewodniczyła zabawie; była najśmielszą i widocznie jeźli nie najrozumniejszą to najdowcipniejszą z całego koła.

Mnie za karę na którą aż nadto zasłużyłem, zdawała się nie widzieć nawet; parę razy spotkałem jej wyraziste oczy, ale spojrzenie to było tak obojętne, jak gdybym był kawałkiem ściany, o którą oparty

stałem, przyglądając się zabawie. Zresztą nie bawiłem tu długo; widząc, że dr. Kühleborn ma zamiar przedstawienia mnie poważnej matce czterech dorodnych córek, i kilku innym jeszcze niesympatycznym osobom, wymknąłem się z sali. Pomimo deszczu udałem się w góry, gdzie spędziłem kilka przyjemnych godzin.

W dolinach panowała gęsta mgła, która unosząc się po nad szczyty wyżyn, i łącząc z ciężko wlokącemi się po niebie chmurami, fantastyczne przedstawiała obrazy. Wiatr szumiał w konarach starych drzew, cicho ale bezustannie spadały krople deszczu z liści jodłowych na wrzosowisko, które wszędzie skalisty grunt pokrywało. Wązkiemi strugami, a gdzie niegdzie i szemrzącym potokiem, spływały wody z gór. Żaden odgłos świata gwarliwego nie mieszał harmonijnej ciszy; ptaszek tylko jakiś odzywał się kiedy niekiedy żałośnie.

Wybaczysz mi, że nie chcąc czczą gawędą towarzystwa rozwiać uroku pod jakim zostawałem wróciwszy ze spaceru, wsunąłem się do swego mieszkania, i do późnej nocy czytałem trzeci tom Miny Stromdit, Reütera, podziwiając prostotę i prawdziwy talent autora.

Podniecony czytaniem, późno zasnąłem i późno nazajutrz zbudził mnie świergot ptastwa. W nocy wypogodziło się zupełnie; słońce świeciło jasno na bezchmurnem niebie; dzień był prześliczny. Widziałem to więcej niż czułem. Zmysły moje były nieczułe; głowa odurzona bezsennością; gniewałem się na starego służącego kąpielowego, który przez dobroduszność swoją pozwolił mi zaspać; gniewałem się na siebie — słowem byłem w nieznośnem usposobieniu i jak chory, który się niecierpliwie na łóżku z miejsca na miejsce przerzuca, postanowiłem jak najprędzej ztąd wyjechać. Zdawało się mi, że górskie powietrze jest mi szkodliwe, i że towarzystwo Tanneburskie wprawiając w zły humor, także na zdrowie źle wpływa.

W takiem usposobieniu i z zamiarem oznajmienia doktorowi mego postanowienia, udałem się do sali jadalnej, usiadłem spokojnie na swojem miejscu przy środkowym stole, i spuściłem oczy aby uniknąć rozmowy z sąsiadami: starym kapitanem D. i otyłym radcą handlowym ze stolicy. Jednak nie mogło ujść mojej uwagi, że dziś niezwykły ruch w sali panował, szczególnie przy pierwszym stole, gdzie siedziało dawniej tu przybyłe towarzystwo, między innemi panna o błękitnych oczach, która dziś niezmiernie była mowna i ożywiona i w zajęciu swem zupełnie snać zapomniała, iż nie powinna była patrzeć na mnie. W końcu z rozmowy sąsiadów dowiedziałem się, iż chodzi o wybór członka do komitetu zabaw.

— Cóż to znaczy komitet zabaw? zapytał chudy kapitan jednego dnia ze mną tu przybyły, będącego tu już od tygodnia radcy handlowego. Ten więc objaśnił pytającego a razem i mnie, który milcząc przysłuchiwałem się, że komitet ten składa się z trzech panów z grona towarzystwa wybranych, zmieniających się co cztery tygodnie, a których obowiązkiem i zadaniem jest urządzać spacery, tańce, gry i przejażdżki, słowem dbać o przyjemność towarzystwa. Dalej opowiadał radca handlowy, że do tego honorowego urzędu wybierają się tacy ludzie, którzy się towarzyskiemi zalety, położeniem w świecie a nadewszystko powagą odznaczają; gdyż zadaniem komitetu jest także godzić zwaśnionych, w ogólności dobrze przedstawiać towarzystwo, którego jest duszą niejako.

— Ale jakżeż jest możliwy wybór w towarzystwie rzekł kapitan, którego większa część od kilku dni dopiero tu się zebrała? Ja przynajmniej zupełnie się od wyborów usuwam, i sądzę że i pan będzie mego zdania, rzekł zwracając się ku mnie.

— Bez wątpienia, odpowiedziałem.

— Uspokójcie się panowie, rzekł radca handlowy dawniej tu przebywające towarzystwo urządzi to między sobą. Zresztą słyszę, że ci sami członkowie będą na nowo wybrani, z wyjątkiem jednego, który z powodu słabego zdrowia składa urząd.

Ale otóż i kartki!

W istocie kelner roznosił kartki, na których każdy z gości zapisywał imię swego kandydata. Ja z kapitanem wrzóciliśmy niezapisane do urny, radca zaś z dziwnym uśmiechem co się tajemniczo w fałdach jego podbródka chował, przepisywał jakąś kartkę, którą mu nie wiem jakim sposobem z drugiego stołu podano.

Niecierpliwość w salonie wzrastając co minutę, doszła do najwyższego stopnia, kiedy dr. Kühleborn powstając oświadczył zgromadzeniu, że obok niego stojący pan S. mój sąsiad basista, zajmie się odczytywaniem kartek, pan E. zaś spisywaniem protokułu.

Ponieważ ten akt uroczysty nie zajmował mnie wcale, chciałem właśnie usunąć się, gdy z prawdziwem przerażeniem, nazwisko moje wygłoszone potężnym głosem basisty obiło się o moje uszy. Sądziłem że źle usłyszałem, ale wątpliwość moja znikła, gdy znowu powtórzone zabrzmiało, i znowu, i znowu i za każdą prawie kartką w połączeniu z dwoma nazwiskami, także powtarzającemi się. Widocznie nie był to już żaden przypadek! był to dojrzały, dowcipnie ukartowany i konsekwentnie przeprowadzony plan. Krew uderzyła mi do skroni gdy łamałem sobie głowę, komu mam zawdzięczać ten zaszczyt, który tak widocznie zakrawał na szyderstwo.

Nie potrzebowałem długo rozmyślać. Gdy oczy instynktownie do pierwszego stołu zwróciłem spotkałem wzrok pięknej panny a oczy te błękitne strzeliły takim dowcipem i zwycięztwem, tak żywym rumieńcem pokryła się śliczna twarz, że błyskawica podejrzenia przeszyła duszę moją. Ona, to jedynie była twórczynią i wykonawczynią tego planu, ona spłatała mi tego figla! I w tejże chwili zaszła we mnie raptowna zmiana; jeszcze przed chwilą byłem zdecydowany kilku poważnemi słowy, podziękowawszy za ofiarowany mi zaszczyt, nie przyjąć go; teraz przeciwnie dla tego jedynie, żeby zniszczyć dowcipny plan pięknej psotnicy, postanowiłem zgodzić się na wszystko. Spojrzałem na nią. Zarumieniła się jeszcze mocniej i spuściła długie rzęsy. Byłem przekonany.

D. Kühleborn powstał ogłaszając rezultat wyborów.

Dwaj panowie z dawnego komitetu i ja, zostaliśmy jednocześnie wybrani; szanowny doktór spodziewał się, iż wyżej mianowane osoby ofiarowanego im urzędu nie odrzucą, co zechcą łaskawie potwierdzić milczeniem. I jakby obawiając się zaprzeczenia z mej strony, powstał żywo od stołu, przeciskając się przez tłum, który z tego powodu powstał ku mnie.

— Słowo honoru, rzekł, ja temu nie winien, nic o tem nie wiedziałem.

— Wiem bardzo dobrze, odrzekłem, komu mam za to podziękować.

— Dobrze że to pan tak przyjmujesz.

— A jakże mam inaczej przyjmować? odrzekłem śmiejąc się bez cienia zakłopotania.

Doktór spojrzał na mnie cokolwiek zdziwiony. Bez wątpienia, rzekł poważnie, wyjdzie to panu w każdym razie na korzyść.

Oddałem się pilnie swoim obowiązkom. Najprzód dla porozumienia się zabrałem znajomość z nowymi kolegami. Byli to godni ludzie, z którymi przyjemnie mi było dążyć przez kilka tygodni wspólnie do jednego celu. Liczyłem wiele na ich doświadczenie (panowie ci byli po raz 10 czy 12 w Tanneburgu) pragnąc z niego skorzystać: co do mnie bowiem sądziłem, że czynności zaszczytnego mego urzędu ograniczą się tylko na dobrych chęciach. Towarzysze moi zaprzeczyli temu, mówiąc, że dawno już czuli potrzebę młodszego i energicznego pomocnika. Wykaz kosztów, rachunki, słowem wszystkie interesa obowiązali się nadal załatwiać. Ja miałem być twórcą nowych planów i pomysłów.

Niecierpliwie wyglądałem chwili działania i przypadek posłużył mi szczęśliwie. Był to dzień koncertowy, postanowiono wieczorem ogród oświetlić, ale z przyczyny niepogody zaniechano tego projektu. Zapytałem moich kolegów, czyby w sąsiedniem mieście nie można było dostać potrzebnych rzeczy? Na potwierdzającą odpowiedź, oświadczyłem że sam pojadę. Zostawiłem im potrzebne przygotowania, i zalecając jak największą tajemnicę, pojechałem do miasta.

W istocie znalazłem wszystko czego potrzebowałem, nawet ognie bengalskie, gdyż w drodze przyszło mi na myśl że stary zamek dobrzeby wyglądał w takiem oświetleniu. Szczęśliwy z posiadanych skarbów, wracałem czemprędzej do domu; jednak słońce już zachodziło, gdy przybyłem. Nie było chwili do stracenia. Było roboty co niemiara, ale dzięki połączonym naszym usiłowaniom, mogliśmy uskutecznić wykonanie naszego programu. O naznaczonej godzinie poszedłem do ogrodu, zapraszając całe towarzystwo z muzyką na spacer, nad brzeg jeziora zkąd najlepiej zamek się przedstawiał. Wszystko poszło podług życzenia. Za danym znakiem, zabłysnął ogień, wprawiając całe zebranie w nieopisane zdumienie. Jak za uderzeniem rószczki czarnoksiężkiej, wyłonił się stary zamek z ciemności; wieże krużganki, ciężkie masy murów zdawały się płonąć i zarzyć, wszystko to odbijało się w gładkiej zwierciadlanej powierzchni jeziora, nad którego brzegiem staliśmy, a nad tem wszystkiem pogodne niebo letniego wieczora i srebrne promienie księżyca; jednem słowem pięknie było, Bernardzie, bardzo pięknie; mogłem się pochlubić moim pomysłem.

Ale i koledzy moi nie pozostali bezczynni. Po powrocie ze spaceru zastaliśmy cały ogród iluminowany.

Nowe zdziwienie, nowa radość, nowe podziękowania, które się ku mnie szczególnie zwracały chociaż ja, z należytą skromnością, starałem się przyznać całą zasługę kolegom: ci jednak oświadczyli, gdzie i jak spędziłem popołudnie. Młodzi panowie zwrócili się do mnie z prośbą, żeby tak piękny wieczór uwieńczyć balem wiejskim, który możnaby było łatwo urządzić w środku ogrodu, na obszernym okrągłym placu. Szczególnie natarczywym był młody bankier z Berlina, Marcus. Zwierzył mi się pośpiesznie, iż byłby najnieszczęśliwszy z ludzi, gdyby ten zamiar nie doszedł do skutku, gdyż zamówił już do kontredansa p. Antonię G.

— Któż jest panna Antonia G. panie Marcus?

— Jakto, pan jej jeszcze nie zna? Jest to nasza perła najpiękniejszy klejnot naszej korony! Oto tam! Była to panna o błękitnych oczach.

— Panie Marcus — rzekłem — nie chcę niszczyć szczęścia pańskiego, urządzimy bal na prędce. Co więcej będę z panem tańczył vis-a-vis. Proszę mnie przedstawić pannie G.

Było dość światła w ogrodzie, abym mógł widzieć rumieniec na pięknej twarzy gdy kłaniając się kilka zwyczajnych słów przemówiłem.

Pamiętasz kochany Bernardzie, ileśmy przetańczyli naszego czasu, kontredans więc poszedł dobrze, tylko p. Marcus mylił się bezustannie, a ja byłem

tyle złośliwy, iż winszowałem już i tak zakłopotanej z tego powodu pannie, tancerza, który pomyłkami swemi urozmaica monotonny taniec.

Możesz się łatwo domyśleć, że skończyło się na tym jednym kontredansie. W końcu dr. Kühleborn musiał użyć swojej powagi. Oświadczył całemu zebraniu, w mowie pełnej dowcipu, iż uważa, że nowy komitet źle rozpoczyna swoją działalność, dążąc do nowości a obalając stary porządek domowy.

Śmieliśmy się, żartowali, żałowali że się rozłączyć trzeba, w końcu rozeszliśmy się. Pogaszono światła, wszystko się uciszyło; długo jeszcze siedziałem w oknie napawając się pięknym widokiem letniej nocy aż księżyc skrył się po za górami.

Wtedy położyłem się i wkrótce zasnąłem; w sennych marzeniach widziałem prześliczne pałace w złocistych obłokach, niezliczoną ilość różnokolorowych latarń, które jak gwiazdy na niebie błyszczały, i muszę wyznać przed tobą: różową, uśmiechniętą twarzyczkę, której błękitne oczy figlarnie i złośliwie na mnie spoglądały.

A teraz muszę już kończyć, luby przyjacielu. Nie mam nawet czasu rozważać, jakiego doznasz wrażenia czytając ten list. Jeżeli pokręcisz głową dziwiąc się memu postępowaniu —pociesz się gdyż zaręczam, że nic mi się złego nie stanie.

(d. c. n.)

LIST SZÓSTY

DALEKI ZACHÓD

w Ameryce północnéj

PRZEZ

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Płaszcz jego z pięknej skóry bawolej zdobiły rozmaite malowidła, naśladujące niby różne postacie zwierzęce i ludzkie, mające przypominać śmiałe czyny wojenne i myśliwskie młodziutkiego wodza.

Pióra, sprzedawane przez kapłana pokolenia i stanowiące u dzikich amulet, bronić mający tych którzy go noszą od śmierci z ran, zdobiły włos gęsty książątka owego. Inni wojownicy nosili także podobne amulety z piór, ale znacznie mniejsze.

Młodzieniec ten odwiedzał był już nieraz w swem krótkim żywocie Waschington i Nowy-York, i bywał też ongi i na kilku ucztach u prezydenta Granta, a jeżeli dorówna ojcu walecznością, obejmie z czasem naczelne dowództwo nad pokoleniem Su, a że plemię to liczy przeszło 30,000 głów, podobna posada ma pewne znaczenie.

Wspomniałem, iż Indyanie nosić zwykli amulety w postaci piór, z czego to podobno zrodzić się miał zwyczaj skalpowania przez nich nieprzyjaciół, gdyż tym sposobem ze skalpą zdobywają amulet.

Oprócz strzał i łuków mieli ci ludzie i wyborne sztućce odtylcowe, dostarczane im za futra i mięso bawole. Rząd nawet rozdaje broń palną ludziom używającym jej później ku naszej zagładzie.

Strzały u pokolenia Su były ubarwione zielono. Po barwie strzał znawcy poznają, z czyjego wyszły łuku, gdyż każdy szczep indyjski używa oddzielnej barwy.

Jeźdzcy rozstali się z nami, lecz więcej godziny widzieliśmy ich szereg wyglądający z wysokich bużanów, wreszcie tylko dzidy czerniały czasami z po nad trawy, aż w końcu znikli nam zupełnie z oczu.

Tu, na łące prawie falowatej, dostrzeżesz człowieka o kilka mil angielskich, bo powietrze tutejsze posiada dziwną przezroczystość.

Wiljam, który znał syna Czerwonej Chmury dzieckiem jeszcze powiadał mi, iż ojciec uczył go od młodu używania broni, tak, że w osiemnastym już roku życia odznaczał się pośród wielu wojowników Su, szczególną zręcznością w kradzeniu koni, i zeskalpowania kilku nieprzyjaciół.

Oczywiście że po takowych czynach dowiedzionego męztwa, zamianowano go rycerzem i wyniesiono do godności męża dojrzałego, któremu wolno już pojąć małżonkę.

Cztery dni monotonnej podróży, przywiodło nas do fortu Laramie, starego punktu handlu pomiędzy kupcami futer a Indyanami, i ważnej pozycyi strategicznej dla bladych twarzy.

W starych basztach przebywa tu stale spory oddział piechoty, a nie zbywa też na lekkich, łatwo przenośnych działach.

Przedstawiłem się jako korespondent z Warszawy, więc żona i córki urzędnika miejscowego, narzekając bardzo na przeciągłe nudy, wielkie okazały mi względy, a mówiły że z wielką niecierpliwością oczekują na ukończenie kolei budowanej do Cheyenne, znacznego miasta w Wyomingu.

Nazajutrz rankiem, dostrzegłem, iż położenie fortu piękne, bo stepy kończą się tu, a łańcuch olbrzymich gór, zwanych w krajowem narzeczu górami Laramie, strzela ku niebiosom igłami przypominającemi Szwajcaryą. Pół dnia jazdy doprowadzić mogło podróżnego z tej miejscowości, do stóp tych gór. Groby Indyan i kopalnie agatów stanowią ciekawości tej okolicy. Napisałem *groby*, chociaż nie wypadałoby określać mi w ten sposób rodzaju kołyski sporządzonej z kory, a zawieszonej wysoko na konarach drzew.

W kołyskach owych spoczywają kościotrupy zgasłych wojowników; podług zwyczaju krajowego składają tam także ich broń i różne przybory, lecz te zabierają zwykle, chciwi na ciekawe pamiątki podróżnicy. Ja, szanując zwłoki dzikich wojowników, jako ludzi i bliźnich moich, odszedłem z próżnemi rękami.

Poszukiwanie agatów nie mniej ryzykowne jak poszukiwanie złota, kilku wzbogaca, a mniej szczęśliwych doprowadza nawet do nędzy. Piękne i cenne agaty tutejszych min nazywają w handlu zwykle mszystemi (mossagate), gdyż zdają się listkami mchu pocentkowane.

Znużeni nadmiernie długą jazdą, postanowiliśmy spieniężyć w Laramie nasze konie i muły, pojechać do Cheyenne szybkowozem, a ztamtąd wrócić już do domu.

Oficerowie załogi weszli zaraz w targ z nami o nasze rumaki, lecz wypada tu nadmienić że jeśli pułkownik, dowódzca załogi miejscowej, grzecznym był i wykształconym bardzo człowiekiem, to natomiast podwładni jego nie posiadali zalet zdobiących zwykle gentlemanów (ludzi wyższych). Oprócz przebiegłości w handlu koni, nie posiadali żadnej zdolności ani nauki. Później się dowiedziałem że wyrzutki armji składają zwykle załogi tak odległych forteczek.

Targowali się z nami jak tylko Yankiesi targować się umieją, chcieli nam dawać w miejsce pieniędzy już-to łańcuszek tak zwanej *talmy*, już to fajki, laski, worki do tytoniu i przeróżne rupiecie im nieużyteczne; sprzedaż więc była niepodobną i opuściliśmy fort Laramie konno.

Noc nadeszłą przepędziliśmy około gromady głazów sterczących jak szeregi filarów rzeźbionych, a ufni w bliskość portu, nie pilnowaliśmy koni, to też skradziono je nam, pozostawiając tylko powolniejsze muły; wkrótce jednak odkryliśmy ślady stóp zmierzające na południe, dowiedziawszy się od przejezdnych iż widziano człowieka prowadzącego dwa konie, a siedzącego na trzecim, i udającego się w stronę kolei. Ponieważ koń inżyniera kosztował 300 dolarów a nasze po 150, postanowiliśmy ścigać złodzieja i ruszyliśmy do Cheyenny pierwszym pociągiem, powierzywszy muły podróżnym udającym się tam konno.

Cheyenne miasto leżące obok drogi do Kalifornii, i największe w terytoryum Wyoming, było kiedyś główną siedzibą słynnych złodziejów, opryszków i zawadyaków Zachodu. Podczas budowy kolei taki tu był napływ pieniędzy, i tak drogo płacono robotnikom, iż cała hołota z czterech sąsiednich Stanów tu się zgromadziła.

Praktyczni Amerykanie wnet jednak znaleźli lekarstwo na taki stan rzeczy; ludzie uczciwi zawiązali Komitet bezpieczeństwa, i przez sześć miesięcy wieszali w przecięciu dwóch opryszków na tydzień, a pół tuzina oszustów oprowadzano po mieście, posmarowanych smołą i obsypanych pierzami. Po upływie tego czasu Cheyenne nie mieściło już w sobie więcej zbrodniarzy jak inne miasta, bo jednych ukarano śmiercią, a inni pouciekali.

Dziś jest tam już policya i kilku *detektyfów* (tajnych policyantów); do tych ostatnich udaliśmy się po radę i ofiarowaliśmy 100 dolarów za wyszukanie koni.

O! sacra auri famis, czego też ty nie dokażesz! W trzy dni po przybyciu do Cheyenne, dowiedzieliśmy się że konie nasze widziano o kilka mil za miastem, od południowej jego strony. Widocznie, złodziej dążył z niemi do Colorado.

Dla lepszego zrozumienia dalszych naszych ruchów muszę zwrócić uwagę, iż miasto Cheyenne jest punktem centralnym kolei żelaznych w tej części świata. Tu styka się ważna linija przychodząca od Denwer City, stolicy Colorada, z drugą ważniejszą jeszcze Atlantycko-Kalifornijską; ztąd budują trzecią do północnego, górniczego Stanu Montany.

Skoro konie nasze widziano blisko kolei do Denver City, wypadało się domyślać że odszukamy je w okolicach tego miasta pomiędzy licznemi kopalniami w górach, gdzie najłatwiej przechować podobną zdobycz.

Detektif nazwiskiem Platt, człowiek stary i posiadający wielką wprawę w swym rzemiośle, a przytem znający całą okolicę jak własną kieszeń, wsiadł z nami do wagonu. Do Denver liczą ztąd 140 mil angiels., my postanowiliśmy wysiąść na pół drogi w miasteczku Grealey, a stamtąd konno lub pieszo udać się w góry.

Stepy Colorada dziksze, smętniejsze, bardziej poprzecinane parowami jak opisywane już przeze mnie. Tu zaczynają się już okolice więcej przypominające Meksyk jak Stany Zjednoczone. Dość często ujrzysz tu parowy wązkie, głębokie, o ścianach pionowych, jakie to parowy w Meksyku nazywają *cannon*. Na dnie ich błyszczy woda, lecz mógłbyś umrzeć z pragnienia zanimbyś się dostał do niej bez sznurowej drabiny.

Deszcz rzadkim bywa gościem w tych stronach a pomiędzy Denver i rzeką Missouri rzadszym jeszcze, czasami długie przeminą miesiące zanim kilka kropli ochłodzi spiekłą i popękaną ziemię. Rola jednak w wilgotnych latach wydaje obfite plony, a klimat jest zdrowy, z tego też powodu liczni koloniści osiedlają się na tych bezwodnych obszarach i sprowadzając wodę za pomocą grawitacyi od gór skalistych zamieniają pustynię w ogród.

(d. n).

Przegląd literacki.

Biblioteka Warszawska.

Lipiec, Sierpień i Wrzesień.

W ostatniem sprawozdaniu o Bibliotece Warszawskiej z poprzedzającego kwartału, podaliśmy niektóre wyjątki z początku artykułu p. Smolikowskiego o katechizmie pozytywnym, którego główne zasady podług ostatniego wydania, streścił i ocenił autor. Owo wydanie katechizmu Comte'a można dostać i u nas w Warszawie; wdzięczni jednak jesteśmy panu S. że oszczędził nam nie zbyt wdzięcznej pracy studyowania oryginału: nadto, wyborny jego artykuł, otworzy może oczy niektórym ze stronników pozytywizmu, którzy, na słowo warszawskich wielbicieli Comte'a, biją czołem przed tym „wielkim myślicielem", apostołem „trzeźwego rozumu". Co to za rozum i jaka to trzeźwość—widoczne aż nadto z obrazu nowej religji ludzkości, której zasady Comte wyłożył w swoim katechizmie.

Dokończenie zajmującej pracy pana S. mamy w lipcowym zeszycie Biblioteki. Mowa tu przeważnie o prywatnych obrzędach pozytywnej religji, które według Comte'a są obowiązującemi, wówczas gdy obrzędy publiczne (dziwaczne owe sakramenta, o których w poprzednim rozbiorze wspominaliśmy) mają być dowolne.

Obowiązek wykonywania owych obrzędów prywatnych płynie z ubóstwienia owej abstrakcyjnej ludzkości, do której należą nie tyle ludzie żyjący obecnie, ile nie narodzeni jeszcze i umarli, i z bezwzględnej władzy, którą Comte nadaje społeczeństwu. Jednostka bowiem w pozytywnej filozofji znika zupełnie śród ogółu. Nie wolno nikomu myśleć o sobie, lecz każdy powinien poświęcić wszystko dla wymarzonej idei, dla owego abstrakcyjnego ogółu, bo jeśli każdy powinien pracować nie dla siebie, lecz dla wszystkich, to zachodzi pytanie, kto będzie korzystał z poświęcenia i pracy jednostek? Ludzkość, odpowiada Comte, ale to ludzkość (dodaje wraz potem), do której przeważnie należą ludzie już zmarli lub jeszcze tylko narodzić się mający, a więc ludzkość, która nie ma rzeczywistego, jednorazowego bytu, ale jest tylko mrzonką metafizyczną. I to głosi mędrzec trzeźwy, „protoplasta tych, którzy wyśmiewają „kołowaciznę metafizyczną!" Przypuśćmy że ten szumny frazes o pracy na korzyść przyszłych i minionych pokoleń, niby rakieta, olśniewa zrazu i chwyta za serce; ale gdy przypomnimy sobie, że owa ludzkość ogarniająca teraźniejszość, przeszłość i przyszłość, jest zarazem *bogiem* w mającej zbawić świat nowej religji pozytywnej, że zatem każdy człowiek pracuje dla boga i to takiego, którego jedne cząstki już się ulotniły, a drugich jeszcze nie ma —trudno zaprawdę nie parsknąć śmiechem w obec tej trzeźwej mądrości.

Pan S. słuszną robi uwagę, że tem zniweczeniem jednostki i przyznaniem wszechwładztwa społeczeństwu, Comte tylko odegrzewa starożytne pojęcia Sparty i Rzymu—pojęcia pogańskie, które zgubiły świat grecko-rzymski. Przełom, sprawiony przez chrześcijaństwo—wybawienie ludzkości ze szpon tego pogańskiego Molocha — nie ma wartości, według Comte'a: wyzwolenie jednostki, stanowiące kolosalną zasługę i niezmiernej wagi czynnik w dziejach świata, uznawany i dzisiaj na polu urządzeń społecznych, w nauce, w sztukach i ekonomji społecznej, Comte niszczy jednym pociągiem pióra, cofa ludzkość o 18 wieków; robi znowu osobistość ludzką zerem, a ogół wszystkiem — jak niegdyś w półdzikiej Sparcie — i wmawia w ludzi, że to ma być postęp i zbawienie ludzkości! Wiadomo że taka doktryna wydawała i dziś jeszcze wydaje tu i owdzie najopłakańsze rezultaty. Do takiego wstecznictwa zaprawdę mogła skłonić Comte'a chyba tylko zawzięta nienawiść do chrześcijaństwa, oparta na drobnych zarzutach, a ślepa na historyczne znaczenie i niezmierną siłę ożywczą chrześcijanizmu.

Paradoksalny poprzednik Comte'a—pod niektóremi względami, Rousseau przypuszczał także, że państwo może zmuszać swoich członków do szczęścia; dla tego też i ów wolnomyślny filozof, bożyszcze rewolucyi XVIII wieku, marzył o jakiejś religji społecznej, którą wolno było nie przyjmować, ale raz przyjąwszy, należało już wykonywać. Czuły i tkliwy filozof Russo żąda nawet kary śmierci na tych, którzy przyjąwszy pewne dogmata, postępują później tak, jakby ich nie uznawali. I to mówi apostoł tolerancyi! Smutne zaprawdę są dzieje obłędu umysłów, nawet wielkich!

Bawiąc się dziecinnemi mrzonkami, twórca nowej religji pozytywnej Comte prawi w swoim katechizmie nawet o stylu, ozdobach i urządzeniu wewnętrznem kościołów pozytywnych. Wszystko to ma się wyrobić w przyszłości (dziecinna niechęć ku wszystkiemu co dawne i pragnienie nowości!) teraz zaś nabożeństwo pozytywnej religji może się odbywać w kościołach dawnych wyznań. Podaje jednak kilka szczegółów, po które odsyłamy ciekawych do artykułu pana S. (Lipiec, str. 65 i 66), jako próbkę zaś przytoczymy tylko co następuje: w kościołach pozytywnych mają znajdować się popiersia sławnych (pod jakim względem?) kobiet, chorągwie i t. d. a wierni, wchodząc do świątyni, zamiast żegnania się, mają chwytać się za głowę, dotykając różnych jej miejsc, które, według frenologicznej doktryny Galla (oddawna uznanej za czcze brednie), są siedliskiem tego lub owego uczucia, tej lub owej władzy umysłowej. Miejsc takich ma być 18—do tak szczupłej liczby ogranicza Comte wszystkie objawy duchowe — a tablice z rysunkami i numerami tych okolic mózgu (prawdopodobnie do wyuczenia się na pamięć lub mające zastąpić książki do nabożeństwa) zaraz dadzą poznać współwyznawcom, czy wchodzący do kościoła, macając się po głowie, chce okazać miłość, czy wdzięczność lub ufność. W kościołach ma być także wyobrażenie *trzydziestoletniej* kobiety z synem na łonie, „coś to przypominа" ową boginię rozumu, której niegdyś, siedzącej na ołtarzu w katedrze paryzkiej, ex-biskup Taleyrand składał hołdy i kadzidła w 1793 roku. Tylko że rewolucyoniści paryzcy nie podzielali gustu Comte'a do kobiet trzydziestoletnich: „bogini rozumu" była podobno znacznie młodszą.

Comte utworzył także i kalendarz pozytywny, dziwnie powikłany i najeżony dzikiemi nazwami (jak np. *socyolatryczne* święta); ma on nawet i poczet świętych pozytywnych, do którego kanonizujący wszechwładnie papież pozytywizmu policzył Cezara obok św. Pawła, Lavoisier'a obok Mojżesza, Mahometa obok Kopernika, Buddę obok Newtona. Nie zapomniał też nowy prorok i o duchowieństwie: religija pozytywna musi bowiem mieć także swoich kapłanów. Obok arcy-kapłana Comte stawia *bankiera* (myśl jedynie prawdziwie pozytywna) i drobiazgowo oblicza nawet pensye tych dostojników przyszłego kościoła. W ostatniej części swego katechizmu Comte rzuca uwagi i proroctwa co do sposobu i czasu rozszerzenia się przyszłej religji ludzkości, streszczając przy tem główne punkta swojej „dynamiki socyalnej. Nie ma potrzeby dodawać, że pogrążony w dziecinnych swoich konceptach, twórca przyszłej szczęśliwości rodzaju ludzkiego, jak słusznie powiada pan S. nie pojął właściwie ani położenia klas roboczych, ani losu proletaryatu, ani stosunku jego do kapitalistów i nie tylko że nie rozstrzygnął żadnej z palących kwestyi socyalnych, ale nawet żadnej z nich właściwie nie postawił. Natomiast ojciec pozytywizmu bawi się w proroctwa — tak, jest on bowiem prorokiem jak Mahomet lub mormoński Brugham Young. Przepowiada więc podział zachodniej Europy na drobne rzeczpospolite, których ma być 17; Anglija sama rozpadnie się na kilka odrębnych republik, podobnież inne państwa, tak że Irlandya i Portugalija będą największemi rzeczpospolitemi w zachodniej Europie. Nawet czas tej nowej organizacyi politycznej określił jasnowidzący prorok pozytywizmu: ma ona już być gotową w pierwszych latach XX wieku! Oczywiście wszystkie te republiki przyjmą religiję pozytywną i powstanie „komitet pozytywistów zachodnich" niby nieustanny sobór kościoła pozytywnego, złożony z 8 francuzów, 7 anglików, 6 włochów, 5 niemców i 4 hiszpanów. Naturalnie że po tych krajach zachodnich i inne także przyjmą religiję i urządzenia pozytywne, nawet Turcya, Persya, Chiny i kraje bałwochwalskie, gdyż powiada Comte, przejście od fetyszyzmu do pozytywizmu jest łatwem, gdyż nawet fetyszyzm (najgrubsza postać bałwochwalstwa) ma pewne powinowactwo z pozytywizmem (p. artykuł p. Smolikowskiego str. 75). Według przyjętej przez Comte'a teoryi włoskiego filozofa Vico każdy naród musi przejść trzy okresy: religijny, metafizyczny (filozoficzny) i pozytywny; ale Comte posiada władzę zmieniać nawet uznane przez siebie prawa historyczne—uwalnia więc Persów, Turków i t. d. od przejścia przez okres metafizyczny i pozwala im odrazu skoczyć z religijności do pozytywizmu, szeroko rozwodząc się nad korzyściami tego przeskoku (u p. Sm. str. 74—76). Co do osobliwszego przyznania pokrewieństwa pomiędzy trzeźwą mądrością, mającą uszczęśliwić ludzkość i fetyszyzmem (np. murzynów czczących głazy i bałwany drewniane), pan Sm. dodaje, że sam Comte stwierdził to pokrewieństwo, gdyż przy końcu życia uznał nawet trójcę pozytywnych bogów, w której pierwszą osobą jest „wielki fetysz" to jest ziemia, drugą—ludzkość, a trzecią — „wielki środek" to jest przestrzeń. Szkoda tylko, że trzeźwy mędrzec nie objaśnił, zkąd mu przyszedł dar proroctwa, tak dokładnie oznaczającego czas i sposób religijnych i społecznych przewrotów w przyszłości. Trzeba wiedzieć że naczelnik najmędrszej filozofji Comte sam spędził czas jakiś w domu obłąkanych w Esquirola; wszelako pan S. zapewnia, że nie w tym zakładzie napisał swój katechizm.

Tych wyjątków będzie zdaje się dosyć. Taką to więc doktrynę głosił wielki Comte, twórca pozytywizmu, którego czczą jako mędrca i mistrza rozmaitego gatunku i kalibru pozytywiści, a pomiędzy nimi i nasi pozytywiści warszawscy, wysławiając genijusz i trzeźwość poglądów swego nauczyciela. Artykuł pana Sm. oby przyczynił się do wyrobienia należytego poglądu naszej publiczności na trzeźwość, opartą na wiedzy i wysoką mądrość pozytywizmu.

(*d. n*).

OBRAZY
na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.
W WARSZAWIE.

W dziale obrazów historycznych... posucha. Piękny utwór pana Gersona jest dotąd ozdobą Wystawy; pogląd w tym względzie zamieszczono dawniej.

Stanęliśmy wśród małej patrzących gromadki. Obraz pana Kossaka był przedmiotem sądów. Zgodzono się nareszcie że... konie prześliczne. Prawda! My się wracamy do myśli przewodniej.

Stanisław Rewera Potocki jedzie na sejm do Lwowa. Toczy się ciężka karoca; w około szczęk, tętent, turkot, zamęt i kurzawa. Oddział zbrojnych i szlachty podąża za panem, harcują ochotnicy, konie rżą

zdyszane, krzyczą strzelcy, hajduki. Znać wielkiego pana. Przepych iście magnacki. Widać już blisko płowe mury miasta... Artysta nam przedstawia chwilę nagłej przerwy. Chłopek orał przy drodze wołami na roli i wyorał buławę. Ha! i cóż mu po tem? Panu—to może! W tem pan jedzie drogą, on bieży co tchu!.. Pan to zobaczywszy, kazał przystanąć. Ruch zwolna ustaje; jeźdźcy ściągają cugle, szarpią się rumaki, szlachcic jadący w tyle daje znaki ręką, by je wstrzymano. Chłopek ośmielony podchodzi bliżej. „Cóż tam?“ Chyli się pokłonem. Gdzie mu też chudziakowi stać przed takim blaskiem, w grubej koszuli, z siekierą u pasa!... Podaje. Pan dłoń prawą opiera na drzwiczkach, lewą zdjął czapkę, ale... zamyślił się nagle... oko lśni.... ręka podarku nie bierze. Dla czego? Cóż tam widać nad oną buławą? To coś znaczy...

Może ten znak zczerniały błysł mu jasną wróżbą? myśl wita przyszłość. Wszakże od Sulisława aż po jego czasy godło Pilawy nieprzyćmione świeci. Pan Podkomorzy rychło kasztelanem!... a choć słońce walk tylu zaszło klęską Górzna, krok tylko jeden do nowych zaszczytów. Cień pierzchnie znowu przed blaskiem zasługi. Myśliż o tem siedzący przy panu zakonnik? Pochylił głowę na złożone dłonie: „Vanitas vanitatis!“

Przy kim racya? Nie można przyznać się artyście. Snuje się pasmo wrażeń ale tło obrazu ściemniało. Nie ma tam ruchu ni spokoju. Ci jadą, owi stoją patrząc w inną stronę. Scena nie budzi wcale interesu. Aktorzy milczą... widzowie sztywni. Wybitniejszą postacią jest młody parobczak, pilnujący wołów na roli. Patrzy ciekawie na pana. Pies mu się do nóg ciśnie trwożliwie, przelękły całym rwetesem; drugi najobojętniej stoi nad kałużą, do której koń się wraca z utęschnieniem. Próżna chęć! zaprząg ją powściąga.

Konie są tu jedynie prawdziwemi końmi: rasę podnosi pędzel artysty.

Talent pana Kossaka oddawna uznany. Grzeszymy—jeśli szczerość zwie się grzechem.

Nie przesądzając dawniejszych utworów, mówimy tylko o obecnym. Wrażenia są czasem mylne, spowiadamy się przeto z poglądów.

Konie, choćby z największą prawdą malowane, rzadko zyskują poklask na właściwej scenie; wywoła go niekiedy biegły pędzel mistrza, dając ruch wyrazisty tym niemym aktorom. Pomysł dobywa naraz cały zasób środków: bieg, spokój, odpoczynek a nawet konanie, od postawy znużonej do rzutnej dzikości, wszystko nam się wydaje zrozumiałą mową.

Zdolniśmy wielbić tę siłę talentu, myśl jednak ludzka żąda czegoś więcej. Chcemy ducha—a duch ten nie zgasły i żywy, tryska z czynów człowieka. Nasza wina! Wolimy szersze kompozycye, gdzie konie są dodatnią stroną głównej akcyi.

Scena tak się ożywia ruchem danej chwili, że wszelki twór z osobna drga pod wpływem wrażeń; akcye posiłkują się wzajem, artysta znaczy każdą piętnem gorejącem: ludzie, zwierzęta, ziemia, niebo, blask i cienie, zlewają się tam w jedną harmonijną całość. Jest to prawdziwa siła!

Są dwa obrazy Verneta pod nazwą: Mazeppa aux loups i Mazeppa aux chevaux. Znamy je z kopji.

Komuż z patrzących serce nie uderzy, na widok pędu dzikiego rumaka. Zwierz szalony rżąc sadzi przez pień ogromny, rwące kopyta nie tykają ziemi, skóra drga siatką nabrzmiałych żył, pot lśniący wystąpił na nią, ściegna się prężą ostatkiem sił. Pędzi go widmo okropnej śmierci. Znajdzież tu skon? Dalej! z wichrami w lot! ale czy uda się skok? Pień obrosł w gęsty splot pnących gałęzi; rumak osnuty, nie przerwie go może... Przerwie!.. sił doda strach... Koń rozhukany rzuca się już! odstawił ogon, wytężył szyję, chrapami pianę ciska, rozwarte oko ściga przestrzeń lasu. Przeskoczy wnet! Za nim tuż! tuż! z tyłu i z boku, w trop, wściekłe się suną wilczyska. Dopędzą!.. Groza zawisła w powietrzu; nadzieja budzi się trwogą. Lecz jest ktoś, co zmógł blade widmo strachu. Duch tam odważny panuje spokojem. Człowiek na grzbiecie konia skrępowany, powściąga wykrzyk boleści i trwogi. Nagość tu nawet nie razi; wysiłek niknie w linijach klasycznego piękna.

Na tle ujętej ramami natury, świetnie odbija wielka myśl artysty. W zwierzęciu instynkt, w człowieku duch przemaga! Instynkt uległ, duch silny promienieje wolą. Akcya i myśl są tutaj w właściwym zakresie. Nie ma próżni.

Drugi obraz—to rozwój i koniec dramatu.

Koń padł, ostatkiem tchu już dyszący; nogi wyciągnął bezwładnie, oczy mu zaszły mgłą. Człowiek się dźwiga wysiłkiem woli, lecz ciężar zwierza przygniótł go do ziemi. Dokoła puszcza, na wodzie gęste szuwary. Z głębin wybiegło stado dzikich koni. Widok niezwykły nagle je uderza. Zdziwienie i ciekawość. Pierzchły, i znów wracają; ten biegnie, ów przystanął, tamten łeb wyciąga, inny przez grzbiet drugiego badawczo spoziera. Pyszny rumak, najpóźniej zapewne przybyły, prysł skokiem i kołując od przodu zabiega. Słychać rżenie, bieg kopyt i głuchy szum puszczy. Słońce dogasa... ustaje dech życia. Znużone zwierzę już więcej nie wstanie!.. tęsknem spojrzeniem żegna towarzyszy. Człowiek — trwa. Nastaje chwila zawieszenia. Jodła roztacza szerokie cienie. Sęp tylko krąży w przestrzeni.

Unosimy się dążąc za lotem artysty, ale — jak tu nie chwalić, i jak nie podziwiać kiedy się wszystko na to widocznie uwzięło. Człowiek, koń, kształt drzew nawet, smętek otoczenia, zlewają się niejako w akord jednobrzmiący.

Źle może wielbić cudze gdy mowa o swojem. Przebaczcie! Sztuka jedną ma wspólną dziedzinę: ideał piękna. I my się także mamy chlubić z czego. Matejko, Siemiradzki, któż wszystkich policzy co pośród obcych zabłyśli na świeczniku sztuki.

Gdy nam z obczyzny niosą uszczknięty liść sławy, my także chcemy oddać co komu należy.

Cześć sztuce!... malarz znika.

Myśli znienacka cisną się gwałtem, Patrząc porównywamy.

Noblesse oblige! powiada francuzkie przysłowie: talent obowiązuje!.. wtórzymy choć z cicha.

Nikt nam za złe nie weźmie najżyczliwszych chęci. Tylko mierność zapada w głuchą noc milczenia.

Na tem się zrywa pasmo smutnych wrażeń: zwiążemy je kiedyś. *M.*

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Wyżymaczki mechaniczne.

Narzędziem nadzwyczajnie czas i bieliznę oszczędzającem jest mechaniczna wyżymaczka. Jedna kobieta w ciągu niespełna godziny, może wyżąć paręset sztuk bielizny, wyżąć ją nieledwie do sucha, nieprzekręciwszy żadnej, co się tak często zdarza przy ręcznem wyżymaniu i co więcej bieliznę niszczy, niż samo jej użycie.

Wyżymaczka jest cała z żelaza powleczonego ołowiem dla niedopuszczenia rdzy do bielizny. Opatrzona szrubą, która przykręca się do balji, ma dwa walce grubym kauczukiem wysłane i szczelnie dochodzące, przyjmujące mokre, równo wedle długości walców złożone przedmioty, zkąd na drugą stronę spadają do kosza prawie suche, tak jest silne ciśnienie kauczuku. Szczególniej w zimie kiedy bielizna długo wisieć na strychu musi zaczem wyschnie, co o tyle przedłuża kłopotliwe zajęcie praniem każdej gospodyni, wyżęte mechaniczną wyżymaczką sztuki, czwartą część lub mniej nawet czasu potrzebują, ażeby zdatne już były pod magiel lub żelazo.

Wyżymaczki te łatwą i nieskomplikowaną konstrukcyą powinny bardzo zachęcić zwłaszcza gospodynie domu, które z zasady obawiają się wszelkich maszyneryi gospodarskich, wymagających koniecznie ręki mechanika, ażeby w razie jakiegoś lekkiego uszkodzenia, właściwy kierunek im nadał. Trwałe wewnętrzne urządzenie, bez żadnych trybów i sprężyn, daje zupełną gwarancyą długiego użytku.

Wyżymaczki są w kilku wielkościach i w cenie od rs. $10\frac{1}{2}$ do rs. $15\frac{1}{2}$; te ostatnie jednak wedle zdania naszego najwłaściwsze, gdyż do mniejszych zanadto grubo z powodu krótszych walców składać bieliznę potrzeba.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Z nad brzegów Niemna odebrano dla nieszczęśliwych dziatek w Pułtusku rs. 3.

Pani Wiktoryi Z. w Gzowie. Prenumeratę na Przyjaciela przyjmujemy w każdej chwili, numera zaś wyszłe przesyłamy natychmiast.

Pani Wandzie B. w Budziniczach. Suknia czarna jedwabna wysłana jeszcze d. 10 z. m. należy nam się kop. 38 naddanych do opłaty pocztowej.

Od Redakcyi.

Wskutek porozumienia się z p. Janem Noskowskim wydawcą **Bajek Lafontaine'a z rysunkami Gustawa Doré**, zawiadamiamy niniejszem, że **Prenumeratorowie Tygodnika Mód i Powieści** oraz **Przyjaciela Dzieci**, piękne to wydawnictwo za pośrednictwem Redakcyi prenumerować będą mogli o **sześć rubli niżej ceny.** przez Wydawcę ustanowionej. Dzieło to wyjdzie w 58 zeszytach co tydzień wydawanych, tworzących ksiąg 13, które co miesiąc w starannem na wałku opakowaniu, przesyłane będą nabywcom. Zniżona cena prenumeracyjna wynosi na miejscu bez przesyłki za każdy zeszyt kop. 20. Przy pierwszym przedpłatę z góry za trzy dopełnia się. Na prowincyi zaś z przesyłką pocztową prenumerata ustanowioną została:

Kwartalnie za trzy księgi	rs. 3	kop. 50	
Za sześć ksiąg	„ 7	„ —	
Za całe dzieło	„ 14	„ —	

„Dziennik Małgorzatki“ przez Mouniot wyjdzie wkrótce w przekładzie polskim, jako podarek na gwiazdkę dla dzieci.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 25 Сентября (7 Октября) 1875 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 41.

N. 1. **Ubranie** ślubne dla młodej wdowy.

Suknia z Faille lub innej ciężkiej białej materyi ma spódnicę z długim trenem z tyłu w kontrafałdę ułożoną, w koło oszytą szerokim wolantem, obrąbionym na prawą stronę rulonikiem. Fartuszkowa z brzegów przyfałdowana tunika zachodzi z tyłu pod kontrafałdę, u dołu zaś oszyta jest podwójną wypustką z grubym sznurkiem i koronką 9 cent. szeroką. Takież wypustki dane przy kirasowym staniku i przy wolantach rękawów. Ubranie stanika jest z długiej i szerokiej szarfy koronkowej lub z jedwabnego tiulu, która ułożona w fałdy otacza wykrój szyi, z przodu związana jest na kokardę, a długie końce na piersiach zkrzyżowane, z tyłu w węzeł przerzucone, spadają długo na kontrafałdę. Rękawki i kreza z takiegoż tiulu lub koronki. Wianek ślubny może być z kwiatów i listków mirtowych, pomarańczowych, albo drobnych białych róż i pączków; welon niepowinien być tak długi ani szeroki jak dla panien, najlepiej upiąć mantylkę albo nie wielki szalik koronkowy lub blondynowy.

N. 2. **Ubranie** dla druchny.

Do sukni z gładkiego kolorowego lino lub muślinu, na tunikę najlepiej dobrać batyst biały w pasy ażurowe albo przerabiane w deseń adamaszkowy. Tunika z tyłu otwarta ma bryt przedni i kliny boczne zcięte skośnie jak u spódnicy, a tylne bryty proste; obwód górny wynosi 200 a dolny 300 cent., długość przednia 73, z jednego przyfałdowanego w puf podpiętego i do przodu odwiniętego boku 90, z drugiego brzegu 130 cent. długości. Ten ostatni bryt podpina się trochę kokardą i szerokim końcem. Garnirunek tuniki stanowi plisowanie z nagłówkiem, z tego co suknia materyjału na które dodaje się koronka fabryczna, lub własnoręcznie wywodzona na tiulu albo irlandzka. Garnirunek sukni złożony z plisowania, falbanek koroneczką oszytych i fałdowanych bufek, ma z przodu 25 z tyłu 40 cent. szerokości. Stanik kirasowy i rękawy z tego co suknia materyjału, naszyte są pasami deseniowemi odciętemi z batystu. Podłużny wykrój stanika i rękawy oszyte plisowaniem. We włosy wpięte róże.

N. 3. **Wstawka** z kwadracików z tasiemki i ząbków z plecionki.

Cienką tasiemkę nicianą składa się we dwoje i zeszywa na kwadraciki, gwiazdki zaś układa się z ząbków i zeszywa z lewej strony, nakoniec brzegi wstawki, obrabia się szydełkiem.

N. 4. **Wstawka** do bielizny, z torsadki robionej na widełkach i roboty szydełkowej.

N. 5. **Czepeczek** ranny i krawacik.

Ryc. 5 przedstawia ładny negliżyk dla młodych osób który odrobić można z tiulu lub muślinu; podstawę czepeczka stanowi trójkąt ze sztywnego tiulu, mający 20 cent. długości a 11 środkowej szerokości. Ruszę z przodu przepinaną pukielkami i koniuszczkami z wstążki, $3\frac{1}{2}$ cent. szerokiej, układa się z falbanki muślinowej lub tiulowej, wązką koroneczką oszytej. W tył odrzucone końce ze wstążki, oszywa się szerszą koronką; na włosy spadającą chusteczkę mającą 20 cent. długości a 14 środkowej szerokości układa się na foremce ze sztywnego tiulu, z lekko nadmarszczonej falbanki muślinowej lub tiulowej koroneczką oszytej; środkiem na zejściu się falbanek, dodane kokardy i pukle ze wstążki.

Krawatka z tego co negliżyk materyjału, oszyta koronką i ozdobiona wstawkami, mająca 14—16 cent. szer. a 130 długości, ładnie dopełnia ranną toaletę.

N. 6. **Dywanik** w guście malowideł Holbejna. Robota krzyżowa. Desenie ryc. 17 i 18 w N. 42 Tygodnika.

Materyjał: włóczka kastorowa w kolorach oznaczonych, kanwa odpowiedniej grubości.

W zeszłym roku podaliśmy jeden, dziś dajemy drugi deseń i opis dywana naśladującego malowidła na szkle Holbejna. Już wzmiankowaliśmy w ówczas i dziś powtarzamy, że piękność roboty polega nie tylko na piękności rysunku, ale więcej prawie na doborze kolorów, które wzięte pojedynczo wydadzą się nikłe i wypełzłe, a jednak w robocie tworzą wdzięczną i harmonijną całość. Główne więc zadanie polega na dobraniu kolorów, które tylko w pierwszorzędnych znajdują się składach. Model przedstawiony na ryc. 6 miał 196 cent długości a 170 szerokości, robiony był na kanwie zupełnie grubej, włóczkami kastorowemi.

Ponieważ trudno jest dokładnie grubość kanwy oznaczyć, potrzeba więc przed zaczęciem ilość krzyżyków i deseń dokładnie obliczyć, żeby tak w tle jak i w szlakach figury szły we wskazanym na ryc. 6 porządku. Chcąc czy to z powodu kanwy czy zmiany podanej przez nas miary, liczbę figur zmniejszyć lub powiększyć, musiemy obliczanie i robotę zacząć od szlaków i w takowych dodać lub ująć w środku koniecznie całkowitą figurę, tło zaś powiększyć lub zmniejszyć o odpowiednią ilość krzyżyków w koło. Dla dogodności można tło i szlaki robić oddzielnie a następnie zeszyć, zawsze jednak stosując się do wzoru na ryc. 6 podanego.

Ryc. 7 w N. 42 przedstawia tylko część środkowych figur które podług wzoru dokończyć trzeba; na ryc. 8 widzimy narożnik z kościelnemi znakami i część szlaku. Figury szlaku są odrobione kolorem czarnym i jasno kamiennym, tylko w narożnikach domięszany kolor żółtawo zielony jasny, tło zaś zarabia się kolorem pompejańsko czerwonym. Środek dywana ma tło ciemno-trawnego koloru, figury zaś chociaż jednakowemi kolorami odrabiane, wydają się raz jasne, drugi raz ciemniejsze, z powodu innego tychże kolorów układu. Tak więc w podłużnych arabeskach ciemniejszych idzie najpierw kolor czerwony, dalej ku środkowi czarny, jasno-kamienny, niebieski i jasno-zielony; w jaśniejszych figurach czarny zastępuje czerwony, którym daje się tylko obwódka przy jasno-zielonym zastępującym czarny, dalej maisowy w miejsce kamiennego, a kamienny w miejsce niebieskiego. Okrągłe figury robią się kolorem czarnym, czerwonym, jasno-zielonym i jasno-kamiennym i tylko przez zmianę układu wydają się jaśniejsze lub ciemniejsze.

W drobnych gwiazdkach i wązkim szlaczku, kolory zawsze powtarzają się podług znaków.

N. 7—8. **Dwie** wstawki wywodzone na tiulu czarnym lub białym.

N. 9. **Ciepłe** rękawki włóczkowe. Robota na drutach.

Rękawki robią się w koło na drutach i niepotrzebują opisu, dodamy tylko że dla uniknienia nie miłego ściśnięcia ręki przy wiązaniu lub zakładaniu elastyki, rękawki złączone są tasiemką odpowiedniej długości, która przechodzi pod suknią przez plecy i niedozwala się rękawkom zesuwać. Do roboty użyć można bawełny, włóczki albo wigoniu.

N. 10. **Paletocik** jesienny z podłużnemi zębami z boków.

Model paltocika, któremu dodane zęby przy przodach z boku, nadają formę niezwykłą, odrobiony był z czarnego kaszmiru z fularową podszewką, pod którą dla ciepła daje się grubą flanelę. Do przybrania służyły 5 cent. szerokie plisy rypsowe z wypustką ze sznureczkiem, nad któremi dodana wąziutka torsadka jedwabna. Bogata frendzla i kokardy z repsowej wstążki dopełniają strojne przyozdobienie.

N. 11. **Beduina** szalowa.

Wełniane rypsy albo inne ciepłe tkaniny w pasy najstosowniejsze są na okrycia tego rodzaju. Model odrobiony był z rypsu pąsowego w szerokie i wązkie pasy kolorowe, my jednak radzilibyśmy kolory mniej jaskrawe, bo te tylko wyjątkowo godzą się z dobrym gustem.

Na beduinę potrzeba prostego kawałka, mającego 84 cent. szerokości, a 208 cent. długości. Pas prosty 11 cent. szeroki stanowi górne wyłożenie beduiny, której kapturek 30 cent. długi formuje się przez stosowne zapięcie w środku. Dwa kwasty włóczkowe, tego co beduina koloru, zdobią koniec i środkowe złożenie kapturka; w środku u dołu przecina się beduinę na 30 cent. długości. Frendzla 9 cent. szeroka przyrabiana jest do wązkiego obrąbka beduiny, na takową tnie się z włóczki nitki 20



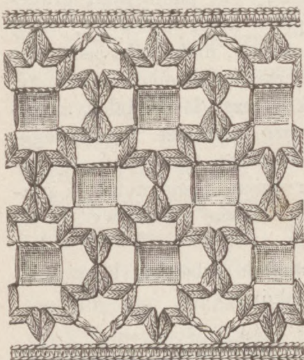
N. 1. Ślubne ubranie dla młodej wdowy. N. 2. Ubranie dla druchny.

cent. długie; przeciąga w odstępie $1/2$ cent. tak ażeby równo składały się przez środek, a następnie wiąże po cztery w węzeł, jak to widzimy na ryc. 21.

N. 12—13. Peleryna włóczkowa. Robota szydełkowa, ścieg tunetański.

Materyjał: 130 grammów włóczki brązowej, 8 czarnej, 8 białej i 10 nakrapianej perłowej.

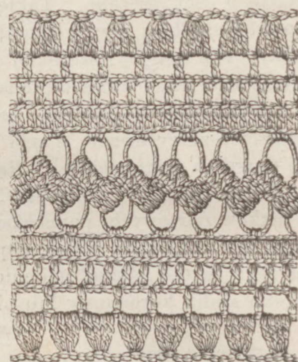
Całą pelerynę robi się ściegiem zwykłym tunetańskim, oddzielnie tło podług formy, a oddzielnie szlak podług próbki ryc. 13, który następnie przyrabia się do peleryny. Pelerynę zaczyna się od dołu, na o. 251, obrabia dwa razy tam i napowrót, a następnie dla nadania formy, w każdym rzędzie przy obrabianiu łańcuszkiem gubi się po pierwszem i przed ostatnim okiem, oraz dwa po jednemu z każdej strony oka środkowego. Tak zgubiwszy 10 razy po o. 4, pozostanie nam z każdej strony do o. środkowego po o. 105, z których odlicza się po o. 54 na przody a reszta zostaje na plecy, i w tem miejscu zaczyna się gubienie dla nadania formy w ramionach. Najpierw gubi się z każdego boku i w środku 1 o. co 2 podwójne obrobienia razy 4, dalej aż do wykroju szyi za każdem obrobieniem.


N. 3. Wstawka z plecionki w ząbki i tasiemki.

Gdy zrobimy rzędów 24, ażeby nadać wykrojowi formę przynależną, zostawia się od przodów po 8 o. bez przerabiania, z pozostałych zaś gubi się dalej na ramionach i we środku, za każdem obrobieniem łańcuszka, dopókąd nie pozostanie na drutach tylko po o. 15 od środkowego na dwie strony, które razem z pozostawionemi z przodów obrabia się łańcuszkiem. Teraz peleryna jest skończona a zaczyna się robota szlaku poprzecznie, na o. 24 podług próbki ryc. 13, podanej w połowie naturalnej wielkości przez środek idzie pas czarny z muszkami perłowemi na wierzchu, dodanemi nakształt patek, od których gładkie białe szpiczaste końce zachodzą na pasy tego co tło koloru. Na końcach białych dodane wyszycie włóczką czarną i jedwabiem białym. Szlak musi w brzegach i w środku rozszerzać się skośnie, odpowiednio do formy peleryny, dla tego robotę zaczyna się od 3 o. od dołu, a w następnych rzędach dodaje po 3 o. aż do 24; w środku daje się klinik liczący u dołu 14 oczek, który otrzymuje się przez stopniowe skracanie rzędów do 3 o. i następnie powiększanie do 24; na zakończenie szlaku także skracają się rzędy do 3 oczek.


N. 5. Negliżyk i krawatka.

Robota szlaku nie przedstawia żadnych trudności, potrzeba tylko mieć dwa kłębki brązowe, dwa białe, jeden czarny, jeden nakrapiany, które przy zmianach kolorów pozostawia się z lewej strony; pamiętać także potrzeba że biorąc nowy kolor, przerabia się do peleryny o. śc., naprzemian 1 o. czarne, 1 białe, z powodu ciągłej zmiany nitek tworzy się nad oczkami rodzaj wyszycia. Brzeg dolny obrabia się słupkami, do których przywiązuje się frendzlę 14 cent. długą, biorąc na każdy kwaścik 3 nitki złożone we dwoje. Przody i wykrój pod szyją obrabia się 3 razy na przemian włóczką czarną i białą oczkami luźnemi i ścisłemi, przyczem można wykrój zupełnie do miary szyi dopasować, obrobić pikotami i dodać sznury z kwastami do wiązania.


N. 4. Szydełkowa wstawka z torsadką robioną na widełkach.

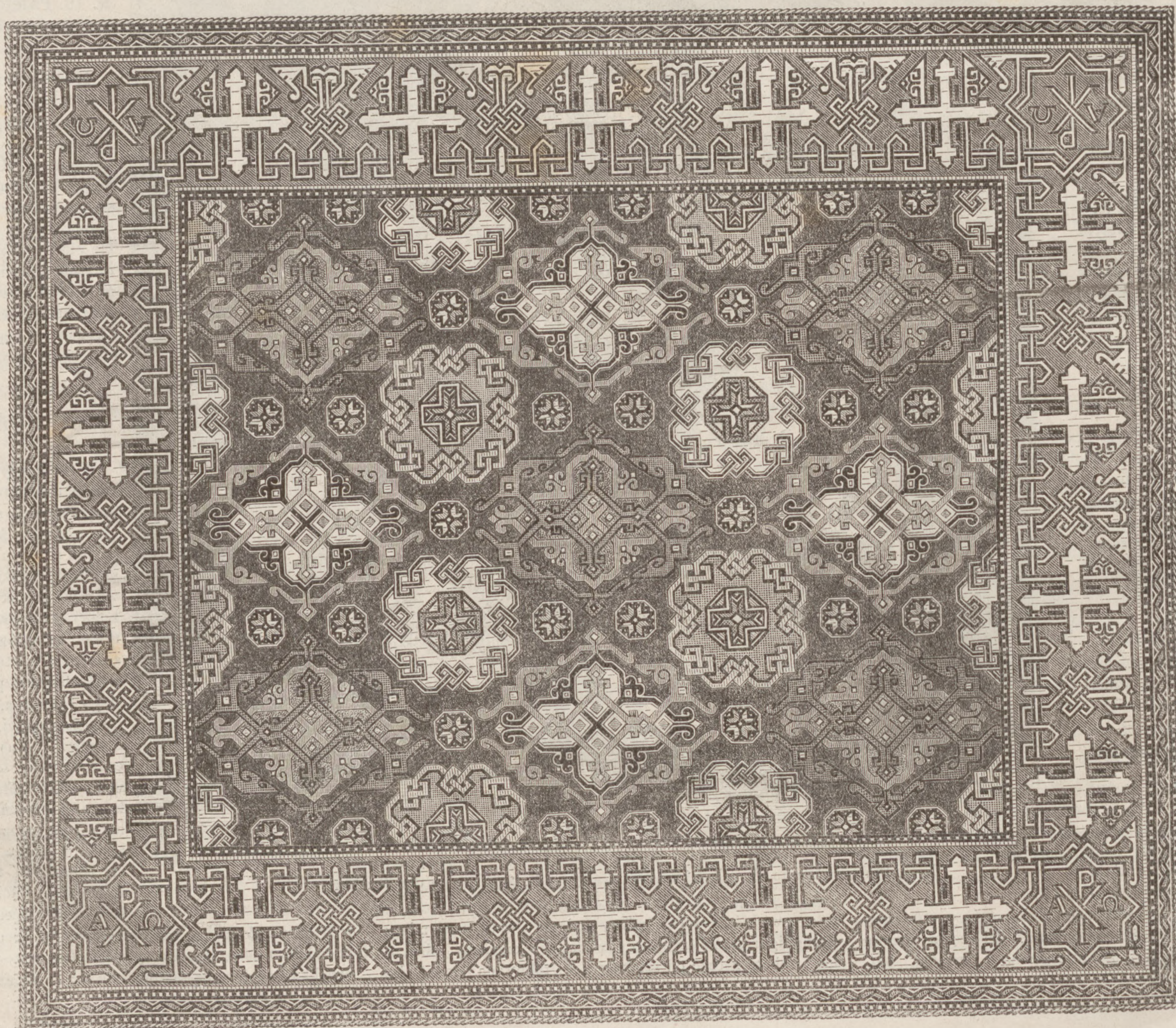
N. 14—15. Dwa rękawy do sukien.

N. 14. Rękaw z plisami i plisowaniem.

Ubranie rękawa stanowią plisy węższe i szersze, wypustki z grubym sznurem i plisowanie z materyi. Szersze poprzeczne plisy równie jak i plisowanie, mają $2\frac{1}{2}$ cent. szerokości, podłużnie zaś pomiędzy niemi naszyte pliski z wypustką z jednej strony $1\frac{1}{2}$ cent., długość zaś od 6 aż do 9-ciu centymetrów. Kokarda ułożona ze wstążki rypsowej 7 cent. szerokiej.

N. 15. Rękaw z bufami i mankietem.

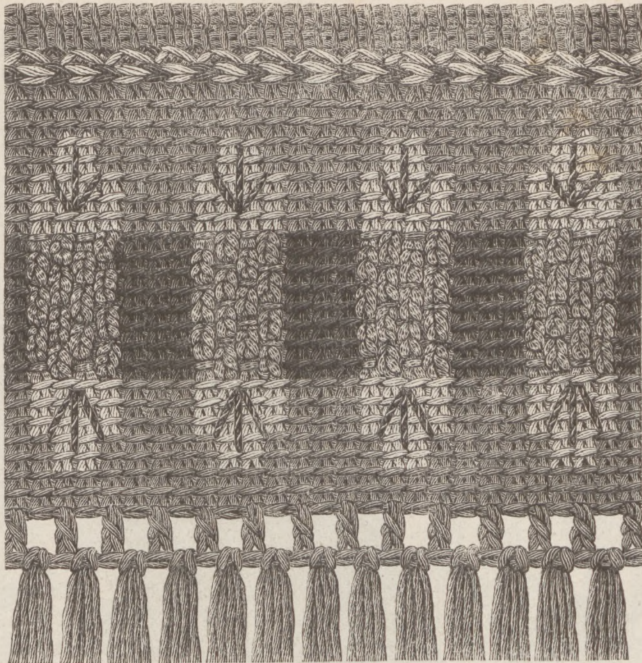
Ubranie z materyjału gładkiego i w kropki, składa się z dwóch bufek 5 cent. szerokich, z których dolna zakończona jest falbanką w


N. 6. Dywan robotą krzyżową. Deseń podług Holbeina. Część szlaku i tła podamy w przyszłym N-rze.



N. 7. Wszywka wywiedziona na tiulu.

rurki ułożoną. Nad drugą bufką dodany mankiet kropkowany, z załamaną poprzecznie fałdą i gładkiem u dołu wyłożeniem. Mankiet ten ma 28 cent. długości a 12 szerokości, w górze jest okrągławo podcięty, z boków skośnie ścięty do 16 cent., pod cały dla sztywności podkłada się muślin. Na szwie nad bufą dodana kokarda z końcami wysiepanemi, z wstążki 6 cent. szerokiej.



N. 13. Szlak do peleryny ryc. 12. Ścieg tunetański.

N. 16—17. Dwa garnirunki do sukien.

Obadwa garnirunki ułożone być mogą z dwóch cieni lub materyjałów albo z jednego. W ten sposób przybierać można nie tylko suknie wełniane lub jedwabne, ale i spódnice białe. Cała szerokość garnirunku, wynosić powinna od 30—40 centymetrów.

N. 18—19. Vêtement dla niedorosłych panienek.



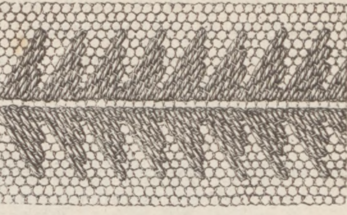
N. 10. Paletot ścięty w szpiczaste zęby z boków.

Vêtement które do każdej sukni lub spódniczki nosić można, na modelu odrobione było z piaskowej wełnianej tkaniny, nie mniej właściwy jest kolor stalowy. Krój zwykły od dawna podawany, zmieniony jest tylko przez przydłużenie tylnych brytów o 15 cent. część długości występuje się i zaokrągla od dołu, resztę dzieli w równe fałdki, zeszywa z bokiem, a na zeszyciu dodaje się plisy z wypustkami z materyi, naszyte w sposób na ryc. 19 wskazany.

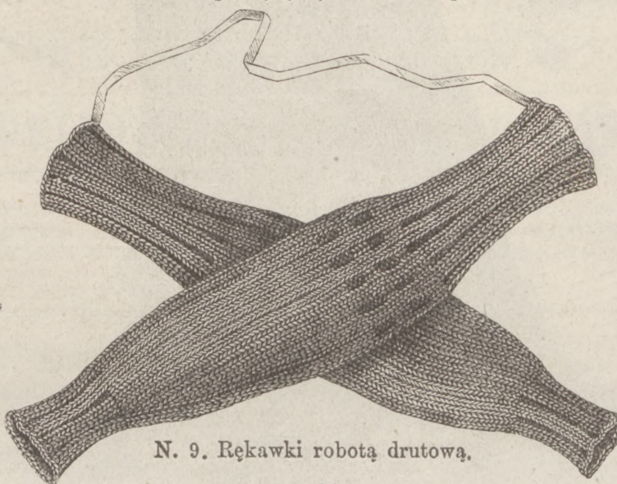
N. 20—21. Sukienka z odznaczonym kaftaniczkiem, dla dzieci lat 1—3.

Sukienka przedstawiona z przodu i z tyłu, kraje się podług znanej formy princesse z materyjału wełnianego, w kratę popielatą i niebieską, który bierze się skośnie. Pliski, gwiazdki i ubranie dodane z tyłu są z niebieskiego kaszmiru. Długość sukienki wynosi 58, szerokość dolna 180 centymetrów.

Krająс plecy trzeba na podwójne kontrafałdy w spódnicy, przypuścić odpowiednią ilość materyjału. Boczki od tyłu są skośną listewką podszyte od pasa, 4 razy przestębnowane i 2—3 cent. odstająco na tylne bryty założone i guziczkami przyczepione. Kaftaniczek zastępują dwie luźno dodane części 28 cent. długie, które do boczka, szwa przy rękawie i na ramieniu zeszywają się razem, a od przodu oszywają plisą i rurkowaną falbanką, idącą z tyłu koło wykroju szyi. Na $8\frac{1}{2}$ cent. szer., w pięć fałd ułożone ubranie pleców potrzeba 17 cent. szerokiego kawałka niebieskiego; dwóch takiejże szerokości kawałków, 60 cent. długich, potrzeba na szarfy i kokardy. Przyszycie szarf i ubrania pleców przykrywa patka w kratę, 5 cent. szer. przymocowana guzikami.



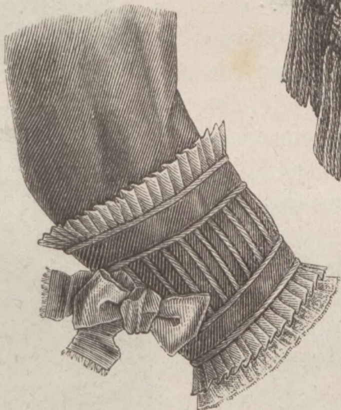
N. 8. Wszywka wywiedziona na tiulu.



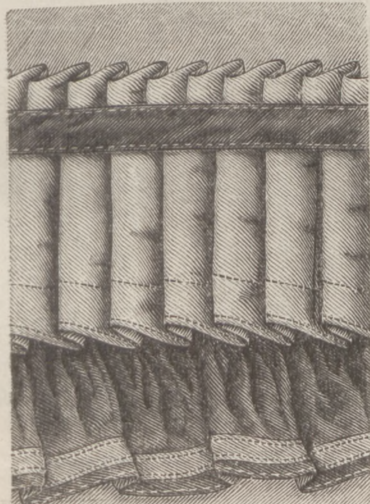
N. 9. Rękawki robotą drutową.



N. 12. Peleryna robotą szydełkową. Patrz ryc. 13.



N. 14. Rękaw przybrany pliskami i plisowaniem.



N. 16. Garnirunek do sukni z materyjału jasnego i ciemnego.



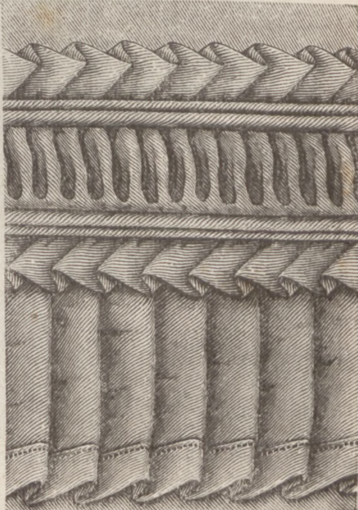
N. 18—19. Vêtement dla panienek.

N. 22. Ubranie spacerowe z tuniką z tyłu zapinaną i stanikiem z baskiną z fałdami na plecach.



N. 11. Beduina szalowa.

Przy sukni popielatej z wełnianego, ciepłego materyjału, gładkiego i przerabianego w pasy czarne i białe, garnirunek spódnicy składa się z plisowania 10 cent. szerokiego, falbany skośnej 12 cent. szer. i gładkiej 7 cent., nad tą ostatnią naszyta jest płaska, kilka razy przemarszczana bufa z 4 cent. szer. nagłówkiem. Tunika z przodu i z boków gładko w pasek wszyta, z tyłu w kilka fałdek założona, zapina się wzdłuż na guziki, po 3 w odstępach przyszyte. Składa się ona z bryta przedniego, prostego 75 cent. szer. w górze okrągławo do 18 cent. głębokości podciętego, i z dwóch bocznych brytów podług miary przykrojonych, prostym brzegiem do przodu przyszytych, a na zewnątrz skośnie zciętych. Długość tuniki z przodu wynosi 75 cent., szerokość dolna 200. Pod spód podchodzący brzeg tylny 110, brzeg na wierzch zachodzący 66 centymetrów. Brzeg dłuższy od góry i dołu na 15 cent. pozostawiony jest gładko, dalej w odstępach na 3 grupy fałd podzielony i w pasek 75 cent. długi wszyty. Do paska przyszyte są guziki a w plisie przy brzegu krótszym porobione dziurki na które tunika zapina się w sposób na ryc. 22 wskazany. Tunika oszyta jest plisą gładką, 7 cent. szeroką, oszytą wypustką z grubym sznurkiem i plisowaniem 8 cent. szerokim. Stanik z baskiną jest z przodu gładki na guziki zapinany, w plecach podszewka gładka a wierzch w 6 fałd do środka zchodzą-



N. 15. Rękaw przybrany bufą i mankietem.

N. 17. Przybranie do sukni.

cych się założony; na te fałdy dodaje się do każdej połowy po 8 cent. materyjału. U góry zajmują one 12, w pasie 8 cent. szerokości, gdzie przepięte są patką 15 cent. długą a 5—6 szeroką. Ubranie rękawów widoczne na ryc. 22.

N. 23. Stanik z baskiną i imitacyją sznurowania z tyłu.

Wełniany kostium w kolorze niebieskawo stalowym, ze stanikiem kirasowym i fartuszkową tuniką, odznacza się głównie ubraniem na plecach i przy mankietach rękawów dodanem z jedwabnego sznura z kwastami, które naśladuje sznurowanie, gdy w rzeczywistości stanik zapina się z przodu na guziki lub haftki, a fałszywe sznurowanie naszyte jest na wierzchu pleców. Ubranie spódnicy u dołu wybiera się podług jednego z podanych wzorów.



N. 20. Sukienka z odznaczonym kaftanikiem dla dziecka lat 1—3. Patrz ryc. 21.

N. 24. Stanik pod szyję z długą baskiną z przodu.

Model sukni odrobiony był z materyjału wełnianego w dwóch cieniach. Spódnica oszyta była wolantem 40 cent. szerokim, w górze kilka razy przemarszczonym i zakończonym podwójną bufką, z małym nagłówkiem plisowanym. Fartuszkowa tunika oszyta plisowaniem 10 cent. szerokim. Stanik z przedłużonemi z przodu połami, łatwo dopasować można podług każdej dobrze leżącej formy. Na połach dodane są kieszonki w koło wypustką ze sznureczkiem objęte, mające 8 cent. wysokości, 10 dolnej, a 13 górnej szerokości. Kokardy przy kieszonkach są ze wstążki $6^1/_2$ cent. szerokiej; pliski z wypustką 2 — 3 cent. szerokie naszyte są na staniku w sposób na rycinie 24 wskazany. Przez stojący kołnierzyk przechodzi gruby sznur jedwabny z bogatemi kwastami, z przodu na pętlice zawiązany. Takimże sznurem sznurowane są mankiety przy rękawach.



N. 22. Ubranie spacerowe z tuniką zapinaną z tyłu i stanikiem z fałdowanemi plecami.

Przepisy kuchenne.

Kalafiory przechowane do nowych.

Gdy się kalafijory oczyszczą ze wszystkich liści, odrzyna się głąb spodem na dłoń pod kwiatem i obłupia się, potem przekłada do czystej faski, woda zaś wlewa się w takiej ilości, aby je objęła, tak zasolona, aby świeże jaje na niej nie tonęło, (tym sposobem woda słona się probuje), przystawia się do ognia, gotuje, szumuje, a wreszcie studzi, potem leje się przez szpunt do faski, na dobre się szpuntuje, opatruje aby nie ciekła, i wstawia w chłodnem miejscu, gdzie co 4 tygodnie trzeba je przewracać. Chcąc użyć kalafiorów, trzeba faskę odszpuntować, wziąść ile potrzeba i napowrót zabić. Kalafiory zaś wrzucają się do wrzącej wody, ale w wielkiej ilości i gotują się miękko.

Można też kalafiory długo przechować, zrzynając je przed mrozami w jesieni, tuż przy ziemi, odebrawszy zewnętrzne liście a resztą liści kwiat otuliwszy, związać, aby żadna nieczystość do nich się niedostała i kłaść je tak przyrządzone w piwnicy, jeden obok drugiego w piasku. Podobnież z głąbami ustawiona kapusta w główkach, dobrze się trzyma i długo.



N. 21. Sukienka z odznaczonym kaftanikiem. Patrz r. 20.



N. 23. Stanik z baskiną z naśladowaniem sznurowania.



N. 24. Stanik z długiemi przodami przybrany sznurem.